Rok I. We Lwowie. Dnia 10. Lutego 1894. Nr. 3.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:			Prenumerata z przesyłką:			
rocznie	12 koron	(6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron	— ct.	(6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „	(3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „	30 „	(3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „	(1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „	15 „	(1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

Ofiara zachowawców i demokracya.

W poprzednim numerze „*Słowa polskiego*“ w artykule p. t. *Z sejmu* zdawaliśmy sprawę z działalności tegorocznego sejmu. Przy tej sposobności wypowiedzieliśmy słowa uznania dla wniosku posła Badeniego w sprawie ciężarów szkolnych i zaznaczyliśmy doniosłość wszelkiej dobrowolnej, stałej ofiary pieniężnej, zwłaszcza, skoro ta ofiara ma ulżyć ciężarów ludowi a celem jej oświata narodowa.

W naturze narodu polskiego leży pewna zapalność i wysokie poczucie szlachetności. To też chyba bez wyjątku zapaliliśmy się do wniosku posła Badeniego i nie zabraliśmy się wcale do obliczania kredką, ile właściwie ofiara posłów konserwatywnych w monecie brzęczącej ma wynosić a natomiast unosiliśmy się nad szlachetnością motywu, którym kierował się w tej sprawie poseł Badeni i jego towarzysze.

Głos uznania przeszedł po całej prasie. Nie brak także gorących słów ze strony obozu postępowego, bo — i to znowu specyalność wiecznych idealistów z obozu demokratycznego — znajdujemy zawsze wyrazy uznania dla przeciwników politycznych, skoro tylko *przyobiecują*, że zdziałają coś pożytecznego czy szlachetnego, chociaż oni nawzajem wszystko, co wyjdzie z naszego obozu, zabijają w najlepszym razie milczeniem...

Głos uznania był tak gorącym, że nie zwracano uwagi ani na pewne zastrzeżenia *Czasu* w tej sprawie, ani też nie liczono się z tem, że *wniosek* to jeszcze nie *uchwała*... Szlachetna ofiara i koniec!

A jednak nie koniec.

W artykule naszym pozwoliliśmy sobie na zapytanie, dlaczego posłowie konserwatywni, którzy zdobyli się na przyrzeczenie ofiary pieniężnej, może zbyt ciężkiej dla każdego ofiarującego, dlaczego ci posłowie opierają się ustępstwom *bezpłatnym* w dziedzinie praw politycznych?

Nie minęło dni kilka otrzymaliśmy odpowiedź i to odpowiedź aż nadto wymowną.

Ofiara pieniężna z idealnych porywów?! Kto dzisiaj dobrowolnie składa taką ofiarę? Chyba zapaleńcy, idealiści, którzy marzą o tem, »że wzruszą z posad bryłę świata.« Ale trzeźwi politycy, ale ci, co są u steru władzy i wszelkie z tego tytułu ciągną korzyści, mieliby dobrowolnie ponieść jakąkolwiek ofiarę? Przenigdy! W polityce nie ma ofiar pieniężnych z dobrej woli — może być tylko handel zamienny: dam tobie, ale w zamian wezmę od ciebie.

Tak i tym razem. A nawet jeszcze gorzej. Ofiary jeszcze *nie dali* a już chcą wyciągać korzyści. Bo i czemże jest ten

sławny, nowy regulamin przedwyborczy*), uchwalony przez sejmowe koło polskie w kilka dni po wniosku Badeniego?! To nic innego tylko szybkie eskontowanie przyrzeczonej już ofiary w chwili, w której społeczeństwo pod urokiem uznania dla szlachetności darczyńców mogłoby przeoczyć ten handelek, lub też zapomnieć na chwilę o zastosowaniu prawideł ścisłej krytyki do roboty tych »szlachetnych.«

Prasa codzienna obozu demokratycznego spostrzegła jednak tym razem, co się święci. *Kurjer lwowski* i *Nowa Reforma* wykazały, że konserwatywna większość sejmowa korzysta z przewagi, jaką ma obecnie w Kole polskich posłów sejmowych, i bez względu na zasady elementarnej sprawiedliwości, chce utrzymać w dalszym ciągu dotychczasowe niedołężne i szkodliwe dla interesów kraju i narodu rządy w swem ręku a sztuczną organizacyą wyborczą chce usunąć wszystkie inne stronnictwa od udziału we władzy i w pracy nad dobrem narodu.

Organizacya partyjna komitetu przedwyborczego ma zabić nadal wszelką opozycyę, bo komitet centralny przedwyborczy zastrzega sobie prawo *proponowania* kandydatów poselskich (»które osoby *powinny* być wybrane posłami«), *orzeka* o ich zatwierdzeniu i ma prawo *nie zatwierdzić* »nieodpowiedniej kandydatury«, a członkom, którymby się nie podobała robota może zbyt jaskrawa, nie pozwala »należeć do *żadnej organizacyi* wyborczej, nie wychodzącej z uchwały polskiego Koła sejmowego«.

Wszystkie te piękne zasady oczywiście postawiono pod wiecznem hasłem »solidarności« narodowej, która to solidarność nakazuje wybierać li tylko jedynie uzdolnionych do rządzenia nami właścicieli dóbr ziemskich lub choćby b. właścicieli, zwłaszcza, jeżeli mają dodatek hr. lub ks., a profesorów, adwokatów, lekarzy, inżynierów, przedsiębiorców, kupców, mieszczan i włościan, bądź to chrzci mianem warchołów, bądź też zarzuca im brak dojrzałości politycznej.

Tak, to prawda.

Nie jesteśmy dojrzali politycznie. Idziemy na lep szlachetnej ofiary, rozmaitych pięknych obiecanek i wciąż wierzymy w powołanie do rządów u pewnych uprzywilejowanych, a nie wierzymy we własne siły.

Lecz naokoło nas gromadzą się już luźne szeregi tych, którzy przestali wierzyć w »specyalne powołanie« i »złote obiecanki«, — lecz ciągła bezpłodność dotychczasowej łataniny politycznej każe rozpocząć poważną robotę, — lecz ruch chłopski i praca poważnych jednostek nad uświadomieniem ludu, a wreszcie mrówcza praca obozu postępowców Rusinów obudziła już drzemiące w kraju siły. Zrzućmyż raz już ze siebie skórę upośledzonych niedołęgów, zapomnijmyż o ambicyjkach jednostek, nie marzmy wszyscy li tylko o tekach ministeryalnych lub o tajnem radcostwie, a stańmy w szeregu jakiejś uczciwej organizacyi, walczmy o nasze prawa, o należytą zmianę reprezentacyi kraju i narodu, o poprawę stosunków społecznych i ekonomicznych.

Za rok wybory. Nie dość oburzać się na postępowanie poselskiego Koła sejmowego, nie dość krytykować rządy koteryi, ale trzeba raz zabrać się samemu do pracy, do organizacyi. Czas już do wyborów się przygotowywać, czas przeciwstawić centralnemu komitetowi przedwyborczemu inną, nie »mianowaną« organizacyę, lecz organizacyę rzetelnie demokratyczną, z wolnego wyboru obywateli wychodzącą.

W ostatniej chwili doszła nas wiadomość, że grono ludzi gorętszych obozu postępowego pomyślało już o pewnej organizacyi i uzyskało przyjęcie do wiadomości statutu.

„*Towarzystwo demokratyczne polskie*“, oto nazwa tej organizacyi. Szczerze przychylni samej myśli, nie bawimy się w Buchmanów. Nie szukamy też koniecznie zaraz weteranów parlamentaryzmu na czele tej organizacyi, ani też nie bawimy się, jak to zazwyczaj się dzieje, już z góry w grabarzy dobrej sprawy, która wedle twierdzenia inteligentnych polityków naszych nie może się powieść,

*) Regulamin ten ku wiecznej pamięci i jako przestrogę na przyszłość podajemy poniżej w dosłownem brzmieniu.

»bo przecież nikt *znany nie* zalecił tej sprawy.«

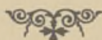
Od dawna przywykliśmy do tego, że wybitne a znane jednostki nie mają po prostu czasu na żadną nową robotę a bardzo, bardzo wielu wcale nie odczuwa prądów chwili obecnej.

To też nie powinniśmy czekać na wątpliwe dary z góry, lecz zgodnie z ideą szczerze demokratyczną zacznijmy pracę od dołu.

Skromną organizacyę, przez ludzi chętnych i dobrej woli przygotowaną, przyjmijmy i złączmy się w pracy.

Słowo Polskie wierne tej zasadzie podaje czytelnikom w dodatku udzielony mu statut „*Towarzystwa demokratycznego Polskiego*".

L.



Nowy regulamin przedwyborczy

uchwalony przez sejmowe Koło polskie opiewa:

§ 1. Centralny komitet przedwyborczy, wybrany przez koło sejmowe, dzieli się na dwa oddziały, jeden z siedzibą we Lwowie, drugi z siedzibą w Krakowie. Każdy oddział składa się z 10 członków i 5 zastępców.

§ 2. Oddział centralnego komitetu przedwyborczego będzie ukonstytuowany i rozpocznie swoje działanie, skoro większość członków oddziału, przez koło sejmowe wybranych, wybierze z pośród siebie prezesa, jego zastępcę i sekretarza.

§ 3. Jeżeli który z wybranych przez koło sejmowe członków komitetu wystąpi ze składu oddziału, lub stale przestanie brać udział w pracach tegoż, prezes oddziału powoła w jego miejsce jednego z wybranych przez koło sejmowe 5 zastępców.

§ 4. Oddziały komitetu centralnego powołują osoby w p ł y w o w e do zawiązania komitetów przedwyborczych dla kuryi mniejszych posiadłości, miast, izb handlowych i większych posiadłości.

Sposób utworzenia i liczbę członków komitetów miejscowych określą instrukcje, wydane przez oddziały komitetu centralnego.

§ 5. Komitety miejscowe wszystkich kuryj po ukonstytuowaniu się zawiadamiają o tem komitet centralny.

Wybiorą także komitety miejscowe z grona swego komisye wykonawcze, których zadaniem jest załatwiać potoczne czynności, tudzież przeprowadzać uchwały pełnego komitetu.

Liczbę członków komisyj wykonawczych oznaczy instrukcya komitetu centralnego, po porozumieniu się z komitetami miejscowemi.

§ 6. Komitet powiatowy lub miejski ukonstytuuje się, wybierając z grona swego prezesa i sekretarza; wybiera także komitet z 5 osób złożony, którego zadaniem jest załatwiać potoczne czynności, tudzież uchwały pełnego komitetu w życie wprowadzać.

Ukonstytuowanie komitetu powiatowego lub miejskiego podanem będzie do wiadomości komitetu centralnego. Komitety okręgowe dla wyborów z większej posiadłości, tudzież komitety dla wyborów z izb handlowych podają również do wiadomości centralnego komitetu wybór przewodniczącego.

§ 7. Komitety przedwyborcze miejscowe czuwają nad akcją wyborczą także przy prawyborach i donoszą o jej przebiegu komitetowi centralnemu.

§ 8. Skoro komitety przedwyborcze miejscowe ukonstytuują się, wybiorą po jednym delegacie na zjazdy delegatów, które prezesowie oddziałów komitetu centralnego powołają do Lwowa, a względnie do Krakowa.

§ 9. Przewodniczący oddziału przewodniczy na zebraniu delegatów, w którem biorą udział także członkowie oddziału.

§ 10. Zjazd delegatów wybiera do oddziału komitetu przedwyborczego centralnego pięciu członków, którzy wejdą w skład odnośnego oddziału.

§. 11. Wzmocnione tym wyborem oddziały powołać mogą jeszcze po 5 dalszych członków, którzy odtąd stale wchodzą do ich składu.

§ 12. Oddziały centralnego komitetu przedwyborczego działają niezależnie od siebie; w razie potrzeby oddziały porozumiewają się wzajemnie.

Postępowanie przy wyborach do Rady państwa.

§ 13. Przy wyborach do Rady państwa oddziały centralnego komitetu obowiązane są wziąć pod rozwagę, k t ó r e o s o b y p o w i n n y b y ć w y b r a n e p o s ł a m i dla skutecznej obrony w Radzie państwa interesów kraju i dla utrzymania łączności między sejmem krajowym a reprezentacyą kraju w Radzie państwa.

Oddziałom komitetu centralnego służy zatem prawo p r o p o n o w a n i a komitetom miejscowym odpowiednich kandydatur.

§ 14. Komitety miejscowe tych powiatów i miast, które tworzą jeden okręg wyborczy, porozumiewają się między sobą co do przedstawienia jednego kandydata na posła tego okręgu.

Sposób tego porozumiewania się oznaczy przy każdych wyborach instrukcya wydana przez oddział komitetu centralnego.

§ 15. Komitety miejscowe wszystkich trzech kuryj zawiadamiając komitet centralny o przebiegu akcji wyborczej, a względnie o wyniku porozumiewania się komitetów miejscowych, winny zarazem oświadczyć się co do ewentualnej propozycyi, uczynionej przez oddział komitetu centralnego.

§ 16. Oddziały centralnego komitetu przedwyborczego orzekają o z a t w i e r d z e n i u przedstawionych im kandydatur na posłów do Rady państwa z wszystkich kuryj.

Komitet centralny przedwyborczy, jeżeli przedstawioną kandydaturę za n i e o d p o w i e d n i ą uwa-

ża, ma prawo niezatwierdzić przedstawionego kandydata.

Oddziały komitetu centralnego decyzyę swoją co do zatwierdzenia lub niezatwierdzenia przedstawionego kandydata podają do powszechnej wiadomości.

Postępowaaie przy wyborach do Sejmu.

§ 17. Przy wyborach posłów do Sejmu komitety miejscowe przedstawiają do zatwierdzenia oddziałom komitetu centralnego kandydatów na posłów z kuryi mniejszej posiadłości, zaś kandydatów z kuryi miast, izb handlowych i z kuryi większej posiadłości podają do wiadomości właściwemu oddziałowi komitetu centralnego.

Oddziały centralnego komitetu orzekają o zatwierdzeniu. a względnie o przyjęciu do wiadomości przedstawionych kandydatur do Sejmu.

§ 18. Oddziały komitetu centralnego mają prawo wysyłać ze swego grona lub mianować z miejscowych obywateli delegatów swoich, dla czuwania nad akcyą wyborczą i dla przeprowadzenia zatwierdzonych przez komitet centralny kandydatur.

§ 19. Każdy oddział centralnego komitetu wybierze z grona swego wykonawczą komisyę, której liczbę członków sam oznaczy.

Komisya wykonawcza ma załatwiać czynności bieżące, a w wypadkach nagłych nawet sprawy należące do pełnego komitetu, jednak z zastrzeżeniem zdania o tem sprawy na najbliższem posiedzeniu oddziału komitetu.

W wypadkach ważnych, a nie nagłych, komisya wykonawcza postara się o zwołanie pełnego posiedzenia oddziału komitetu centralnego.

§ 20. Oddziały komitetu centralnego zbierają się podczas akcyi wyborczej, a oprócz tego dwa razy do roku, mianowicie w marcu i listopadzie, oraz na każde wezwanie przewodniczącego lub jego zastępcy.

§ 21. Komitet centralny urzęduje przez całą kadencyę sejmową. Podczas trwania ostatniej sesyi każdej kadencyi koło sejmowe wybierze członków obu oddziałów komitetu centralnego na następujące sześciolecie.

Jeżeliby przed zamknięciem lub rozwiązaniem Sejmu, koło sejmowe nie wybrało członków obu oddziałów komitetu centralnego — wybrani przez koło sejmowe członków komitetu urzędują nadal, dopóki nowy wybór nie nastąpi.

§ 22. Członkowie centralnego komitetu przedwyborczego nie mogą należeć do żadnej organizacyi wyborczej, nie wychodzącej z uchwały polskiego koła sejmowego.



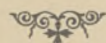
PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Pokojowe usposobienie, za które drogo płacimy. — Ogólne pocałunki. — Pogodzony kanclerz i odświeżone pokrewieństwo pod wpływem panującej influenzy. — Wątpliwe skutki lojalności. — Nowonarodzona dynastya. — Niereligijne prowadzenie się bardzo religijnych narodów.

Wszędzie panuje zupełnie pokojowe usposobienie, podług wyrażenia rutynowanych politycznych sprawozdawców. Prawda, że w Europie zbroją się wszędzie, i bardzo drogo za to płacą, tak, że nawet niemiecki budżet wykazuje 72 miliony marek deficytu, a moskiewski odrazu skoczył od 900-kilkudziesięciu milionów rubli do miliarda z setką; ale wszyscy wiedzą, że podług starego przysłowia *si vis pacem*, *para bellum* — po polsku mówiąc, całujmy się, a miejmy kamień za pazuchą. To też całują się zawzięcie prawie na całym świecie. Anglicy ułożyli się już z Moskalami co do Pamiru, który ani do tych, ani do tamtych nie należy, i dla świętego spokoju pozwolili carowi zająć to najważniejsze w Azyi stanowisko nad samą indyjską granicą. Porwany ogólnym pokojowym prądem, Wilhelm berliński schował wszystkie urazy, i najserdeczniej pocałował się z sędziwym twórcą swojego cesarstwa, z rozgniewanym Bismarkiem, przy grzmiących oklaskach wszystkich niemieckich szowinistów; a co ważniejsza, dlatego się tylko pogodził z dawnym swoim kanclerzem, by ten mu nie przeszkodził ostatecznie porozumieć się ze swoim petersburskim wujaszkiem, Aleksandrem III. Car zaś srożył się niby (tak przynajmniej opowiadają niemieckie dzienniki), ale zjawiła się, jak *deus ex machina*, influenza, czy katar, czy coś podobnego, i dla świętego spokoju spadkobierca Gotorpów kazał zmiękczyć moskiewskie pretensye, bo najmniejsze rozdrażnienie mogłoby pogorszyć tę zbawienną (dla Niemców) chorobę. Wkrótce więc stanie rosyjsko-niemiecka umowa cłowa, naprężone stosunki między Berlinem a Petersburgiem wrócą do dawnej serdeczności, i ujrzymy w całym blasku zbawienne skutki lojalnej polityki p. Kościelskiego.

Nie można przecie powiedzieć, żeby te elementarne wpływy były dla wszystkich wróżbą pomyślnej pogody. Całusy naszych »polskich kół« nic dobrego nie zwiastują ani dla naszej biednej *cis*-kordonowej autonomji, ani dla polskiego języka w zaborze brandeburskim; a moskiewsko-niemieckie porozumienie bardzo się nam może dać we znaki. Czy Pamir będzie zbawiennym dla »cesarzowej wszech Indyi«, to już rzecz p. Gladstone'a — ale że Francya się nie ucieszy z powodu carskiej influenzy, to każdy już teraz wyprorokować potrafi. Nie wiadomo także, czy zachwycona do szaleństwa, z powodu ugruntowania Koburskiej dynastyi, Bułgarya dobrze wyjdzie na tem ogólnem pokojowem usposobieniu. Malutki nowonarodzony Borys, książe Tyrnawski, pierworodny syn bułgarskiego księcia i pierwszy następca tronu nowego zadunajskiego panującego domu, nie przeczuwa, co się z nim stać może, skoro nastąpią inne kombinacye w ogólno-europejskich przymierzach. Biedna, odważna, patryotyczna Bułgarya! Rozmaite te pogodzenia daleko są dla niej niebezpieczniejsze od najętych przez pp. Ignatjewa i Chytrowa siepaczy, od sprowadzonych z Paryża dla ks. Ferdynanda dynamitów, nawet od wiecznie spiskującego niby bułgarskiego, a w rzeczywistości grecko-rosyjskiego wyższego duchowieństwa. — Miejmy nadzieję, że do tego jednak nie dojdzie, ażeby pogodzone z Rosyą mocarstwa poświęciły jej ten biedny kraj, zaczynający odradzać się po tyluwiekowym ucisku i po serdecznych uściskach swoich północnych oswobodzicieli. Tem bardziej możemy się tego spodziewać, że Bugarya ma jeszcze inne przedmurze, odrodzoną Rumunję, którą by także poświęcić trzeba. A zresztą kto wie, czy aura dzisiejsza długo potrwa?

Jest atoli cała część świata, nad którą nigdy pono nie wicje pokojowy wietrzyk, podobny do tego, który dziś faluje od Berlina do Petersburga. Mamy na myśli południową Amerykę. Od stu lat prawie, to jest od założenia południowo-amerykańskich niepodległych państw, ani rok tam nie przechodzi bez domowych i międzyrepublikańskich wojen, bez rewolucyj i rzezi, a przynajmniej bez jakiejkolwiek strzelaniny. Teraźniejsza brazylijska wojna domowa, na którą nikt prawie uwagi nie zwraca, (takeśmy się wszyscy przyzwyczaili do tamtejszych wyśmienitych obyczajów), powinna nas jednak obchodzić, a to z powodu znajdujących się tam polskich kolonij. Wielkich klęsk przewidzieć nie można, bo wszystkie te rewolucye nie odznaczają się zazwyczaj zbytnim krwi przelewem — ale nastręcza się nam z tego powodu uwaga, którą się z czytelnikiem podzielić musimy. Nasi pseudo-konserwatyści przypisują wszystkie nasze klęski i niepowodzenia upadkowi religji, anti-katolickim prądom i t. d. i t. d. — zdaje się, że każdy mógłby na pamięć wyrecytować te narzekania, tak się one często powtarzają. Otóż owa południowa Ameryka, gdzie wojny domowe i rewolucye są niby stanem normalnym, jest bezwątpienia najbardziej katolicką ze wszystkich części świata — i to właśnie było jednym z powodów polskiej emigracyi do takiego prawowiernego kraju jak Brazylia. Tam z pewnością ani heretyka, ani niedowiarka (oprócz garstki niemieckich lutrów) ze świecą nie odszukać i podług teoryi p. Tarnowskiego, taka n. p. Wenezuela, czy Boliwia, czy Brazylia, powinna być najszczęśliwszym i najcnotliwszym krajem na świecie. Że tak nie jest, wie każdy, a więc — pozwolimy sobie zrobić taki wywód, na który każdy bezstronny człowiek zgodzić się powinien: że proponowane nam w Krakowie lekarstwo do bardzo skutecznych chyba nie należy. Nie uwłaczając powadze ks. Chotkowskiego, wnioskujemy zatem skromnie, że katolicka religja jest dobrą rzeczą, ale sądząc z południowej Ameryki, trzeba by jednak do niej dodać coś innego, by nie zostać europejskimi brazylijczykami.



SPRAWA RUSKA.

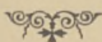
Od pewnego czasu panuje na Rusi zamęt straszliwy. Ugodę zawartą przez rząd z kilku posłami ze stronnictwa na-

rodowców, a szumnie ogłoszoną za ugodę narodu polskiego z ruskim, spotkało stanowcze fiasko. Nawet ojcowie tego niefortunnego eksperymentu politycznego, jak p. Romańczuk, publicznie wyrzekli się swego dzieła i otwarcie głoszą, że nie chcą mieć nic wspólnego z t. z. »nową erą«. Tylko p. Barwiński, jako główny inicyator, broni jej z uporem, godnym lepszej sprawy, narażając się na niezliczoną moc pocisków, ze wszech stron doń skierowanych. Widocznie mocno ufa w poparcie sfer miarodajnych i ks. metropolity Sembratowicza, który go polecił narodowi jako »wiernego katolika«. To też nic nie zraża p. Barwińskiego: ani namiętne wycieczki całej prasy ruskiej, ani przerażająco mała liczba głosów, otrzymanych podczas wyborów do wydziału »Proświty«, ani nawet miano »zdrajcy«, rzucone na jednym z ostatnich wieców ruskich. Ale napróżno usiłuje p. Barwiński zatrzymać przy spłowiałym sztandarze »nowej ery« bodaj jaką taką grupkę zwolenników polityki sztuk łamanych. Daremna praca. Oprócz skrajnych klerykałów, wszyscy jego stronnicy pośpiesznie go opuszczają i dążą... no, ale kędy dążą, tego prawdopodobnie nie wie żaden z narodowców. Że z dotychczasową polityką serwilizmu i krętactwa zerwać wypada, że się jakoś zorganizować potrzeba, to wszyscy rozumieją; ale kto narodowców zorganizuje, kto wytknie nową drogę ich polityce, na te pytania nikt dać stanowczej odpowiedzi nie potrafi. Najzdolniejszy niewątpliwie narodowiec, jakim jest p. Romańczuk, mało w kim dziś już wzbudza zaufanie. Dz. Oleśnicki, w którym pokłada wielką nadzieję zwłaszcza prowincyonalna inteligencya ruska, niczem jeszcze nie dowiódł, że mógłby prowadzić akcyę polityczną na szerszą skalę. Po za tymi kandydatami na prowodyrów nie ma ani jednej osobistości wybitnej, którąby potrafiła skupić dokoła siebie poważniejszy zastęp członków obozu narodowieckiego. A tu sprawy przybierają obrót coraz to niepomyślniejszy. Społeczeństwo coraz to głośniej objawia niezadowolenie z postępowania swych przywódców. Organ narodowców *Diło*, skompromitowany popieraniem nowej ery, ledwie dysze. Nie pomogła mu już nawet zmiana frontu i przechylenie się na stronę opozycyi względem p. Barwińskiego; wkrótce będzie zmuszony albo zaprzestać wychodzić, albo przejść w ręce swego teraźniejszego antagonisty, który oprócz miesięcznika *Prawda*, zamierza wydawać jeszcze pismo codzienne — konserwatywno-klerykalne.

Gdy się zwrócimy teraz do drugiej ze starych partyj ruskich — do stronnictwa moskalofilskiego, będziemy musieli przyznać, że stan jego jest całkiem bez nadziei. Składa się ono obecnie z garstki wymierających starców, oraz z kupki zdemoralizowanej młodzieży, która zresztą coraz to bardziej przechodzi na czysty moskwicyzm, tracąc tem samem wszelką łączność z ludem. Zresztą stronnictwo moskalofilskie będzie trzymać się dotąd, dokąd nie przestanie działać w Rosyi komitet słowiański, ale wpływu na bieg spraw politycznych w Galicyi już nie odzyska. W czem jednak tkwi główna przyczyna obecnego stanu rzeczy, co wpłynęło na to, że oba stronnictwa doszły do takiego rozbicia, które jest niemal zapowiedzią całkowitego bankructwa politycznego? Jeśli przypatrzymy się uważnie polityce ruskiej, przez cały szereg lat prowadzonej, w takim razie zobaczymy, że była to polityka, mająca na celu interesa tylko jednej klasy — duchowieństwa i ściśle z niem spojonej, nielicznej inteligencyi ruskiej. Lud, stanowiący główną masę narodu, używany był przez prowodyrów obu stronnictw jedynie jako dekoracya. Dla ludu nic, albo prawie nic nie robiono. Nie mając oparcia w masach ludowych, Rusini z konieczności musieli prowadzić politykę forsowną, polegającą albo na opozycyi quand même, albo na kompromisach i rozmaitych sztuczkach dyplomatycznych. Tą drogą można było wprawdzie uzyskać pewne koncesye, za trwałość których jednak nikt nie mógł zaręczyć. Lada wietrzyk w sferach rządzących mógł je zdmuchnąć. Oprzeć się na ludzie, wypisać na swym sztandarze hasło podniesienia ekonomicznego i uświadomienia politycznego warstw ludowych — tego uczynić żadna z obu partyj nie chciała, czy nie umiała. Uczyniła to na-

tomiast partya trzecia — partya radykalna. To też jest ona jedynem stronnictwem ruskiem, które z ufnością spogląda w przyszłość, że praca jego nie pójdzie na marne. Wobec tego, że najmłodsze stronnictwo to poczyna odegrywać rolę, coraz większy wpływ na politykę ruską wywierającą, w następnym nrze *Słowa Polskiego* pomówimy obszerniej o genezie, rozwoju, stanie obecnym i widokach na przyszłość tego stronnictwa.

W.



SPRAWY POLSKIE.

Zwycięstwo Górnoszlązaków.

Swieżo odniesione zwycięstwo ludu górnoszląskiego w prudnickim okręgu wyborczym, narobiło wielkiej wrzawy w całej prasie niemieckiej. Bo i trudno wypadkowi temu odmówić wielkiego znaczenia. Dzień 25 stycznia b. r. na długie lata pozostanie pamiętnym w epoce odrodzenia się narodowego Górnoszląskiej dzielnicy i nie bez wpływu zostanie na dalsze losy tego kawałka polskiej ziemi. Po raz pierwszy z tych najdalszych kresów »Starej Polski«, skąd to ostatni raz przed ośmiuset laty doleciał okrzyk zwycięstwa oręża polskiego z pobojowiska na *Psiem polu*, dzisiaj z tych kresów, z sąsiedztwa tych mogił, dochodzi nas silny i męski głos ludu polskiego, aż nadto dobitnie świadczący o tem, że posterunek ten bynajmniej jeszcze nie jest stracony dla sprawy narodowej, ale owszem że się dźwiga o własnych siłach, bez naszej pomocy.

Wszechwładne dotychczas katolickie centrum, wyzyskawszy uczucia religijne milionowej ludności polskiej, do ostatniej chwili nie poczuwało się do obowiązku bronienia interesów tego ludu, przeciwnie przy każdej sposobności zaprzedawało go w niewolę niemiecką, zaprzeczając nawet praw językowych. Niestało zatem cierpliwości... Kiedy postawiono przy uzupełniających wyborach do parlamentu w pow. prudnickim kandydaturę p. Delocha, właściciela dóbr, a germanizatorzy w sutannach roztrąbili ją *urbi et orbi*, jako jedyną, patentowaną przez nich, i wówczas lud polski prawie w przededniu wyborów zdobył się na postawienie swojej własnej kandydatury w osobie p. Fr. Strzody, gospodarza z Wierzchu i wywalczył dla niego prawie równą ilość głosów. Przyszło zatem do ściślejszych wyborów między powyższymi kandydatami i zwyciężył w nich chłop polski ogromną ilością głosów bo 7.565 przeciw 2.746, które padły na niemieckiego Kandydata. Takiego rezultatu nikt nie przewidywał, to też nic dziwnego, sprawił on wielki popłoch w obozie centrowców i szowinistów Niemców. Przypatrzmy się bliżej temu wyborowi, gdyż chcemy go należycie ocenić ze stanowiska narodowego, zanadto zaś skomplikowane motywa towarzyszyły mu, aby mógł posłużyć sam rezultat cyfrowy za miarę tego zwycięstwa, przeceniać zaś i w fałszywem świetle przedstawiać ważny wypadek, do jakiego zaliczamy ostatni wybór prudnicki, uważamy za rzecz szkodliwą.

Ze stanowiska narodowo polskiego o zupełnem zwycięstwie wówczas dopiero przyszło by nam mówić, skoroby z urny wyborczej wyszedł przeciwko niemieckiemu kandydatowi Polak, oświadczający gotowość wstąpienia do Koła polskiego i zdobywający sobie mandat poselski wyłącznie głosami polskimi. Wyborowi Strzody tego znaczenia przypisać jeszcze nie możemy, bo wybrany poseł jakkolwiek otwarcie i śmiało przyznał się do polskiej narodowości, toż przecie obowiązał się wstąpić do tego samego stronnictwa, co i kontrakandydat jego Niemiec, a dalej wyłącznie narodową cechę tego wyboru zmniejsza ta okoliczność, że między $7^1/_2$ tysiącami głosów, jakie padły na polskiego kandydata, znajdziemy przeszło 2.000 głosów chłopów i mieszczan niemieckich, przedewszystkiem z Prudnika.

Więc nietylko idealne hasła narodowe grały przy tym wyborze wybitną rolę, skoro p. Strzodę, gorliwego Polaka, nie pociągnął za sobą błyszczący szyld Koła polskiego, ale przeciwnie kilka tysięcy Niemców pociągnęła za sobą siermięga polskiego chłopa i nie odstraszyło ich twarde polskie nazwisko skoro im przyszło wypisywać na kartach wyborczych »Strzoda z Wierzchu«. Socyalnych pobudek nie trudno się zatem tutaj dopatrzeć. Wszyscy głosowali na katolika, bo byli katolikami, większość na Strzodę, bo był chłopem, jak oni, i czuli, że w nim znajdą obrońcę, znającego dobrze ich potrzeby — wreszcie Polacy z tego powodu oddali głosy na Strzodę,

bo wiedzieli, że tylko Polak może być wyrazem ich uczuć narodowych Dla nas ten ostatni punkt ciężkości, rzucony na szalę wyborczą w tych warunkach, z chwilą, kiedy po raz pierwszy powstaje i coraz silniej ważyć zaczyna u ludu polskiego, jest już dostatecznym powodem, abyśmy zwycięstwo tego rodzaju zapisali w tej rubryce, gdzie się tryumfy narodowe zapisują. To, że materyalne pobudki, a może i taktyczne względy przeważyły tym razem na stronę centrum, a nie dzisiejszej polityki Koła polskiego, wydaje nam się być czemś zupełnie naturalnem. Żąda przecież od tej ludności, która, czem jest dzisiaj, *sobie* tylko zawdzięcza, aby ona już na wstępie samym, wywalczając w sobie świadomość narodową, pozbywać się musiała jednocześnie tej miski soczewicy, która jej sił do tej walki dodaje, byłoby żądaniem teoryi patryotyzmu ludowego, jaka w czasach romantyzmu kwitła. Czyż przedstawiciel tej ludności, która od samego początku najśmielej z całego państwa wystąpiła przeciwko nowym ciężarom, podatkom, cłom, wojsku itd., która pozrzucała dawnych posłów zato, że okazali się skłonnymi głosować za wnioskiem br. Hunego, czyż przedstawiciel tej ludności mógł się odrazu rzucić w objęcia Koła polskiego, które tak zapamiętale walczyło pod sztandarem do tyle nie popularnym dla ludu górnoszląskiego? Polityka nasza, jeśli pragnie pozyskać szerokie podstawy w masach ludowych, nagiąć się musi do interesów tych warstw, a nie silić się na to tylko, aby je wtłoczyć przemocą w mniej lub więcej sztuczne szablony wysokiej polityki. Zresztą w tym wypadku niema i o to obawy .. Koło polskie w Berlinie tak było w ostatnich latach zajęte ważnemi sprawami państwa, że ruch ludowy na Szląsku nie zwrócił dotychczas najmniejszej uwagi naszych przywodców politycznych, którzy zdają się widocznie wyczekiwać tylko tej szczęśliwej chwili, aż sama góra przyjdzie do Mahometa i pokłoni mu się.

Z pod zaboru rosyjskiego.

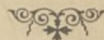
Proces hr. Walewskiego z teściową. Nowe areszty.

Smutną kronikę zamieszczamy dziś z tej części naszej Ojczyzny. Musimy zanotować nikczemny czyn nie *diejatieli*, ale polaka-arystokraty. Hr. Karol Przeździecki, właściciel Czarnoostrowia w powiecie płoskirowskim (na Podolu), córce swej hr. Maryi Colonna-Walewskiej zawarował sumę 8.000 rubli. Ze względu na mały udział w spadku wdowa po zmarłym Przeździeckim córce swej hr. Walewskiej zgodziła się oddać do użytkowania lasy. Kiedy w roku 1892 użytkowanie z lasów, przynoszące do 10.000 złr. rocznie, zostało odjętem, hr. Wincenty Walewski, mąż Maryi z Przeździeckich, wystąpił w sądzie okręgowym kamienieckim z procesem, dążącym do obalenia zapisu swego teścia Adwokat Goldenwajzer opierał się na tem, iż osobom *polskiego pochodzenia* (wdowie hr. Przeździeckiej) oddawanie w dożywocie własności ziemskiej zostało wzbronionem (prawo z dnia 2. lutego 1891 r.), sąd jednak kamieniecki odrzucił prośbę p. Walewskiego na zasadzie, iż prawo nie może mieć działania wstecznego. Decyzya sądu okręgowego zaskarżoną została do odeskiej izby sądowej. Tu żądanie skasowania testamentu popierał adwokat hr. Walewskiego tem, że przedawnienie dwuletnie nie może się stosować z powodu *praw wyjątkowych*, mających *cel polityczny*, adwokaci zaś pani Przeździeckiej dowodzili, że hr. Przeździecka *nie jest polką*, gdyż ojciec jej był luteraninem, służył w wojsku rosyjskiem i uczestniczył w zdobyciu Warszawy, co się okazuje z formularza służbowego. — Rezultat sprawy jest taki, iż lasy od hr. Przaździeckiej zostały odebrane.

Komentarzy do tej sprawy, zdaje się nam, dodawać nie potrzeba, nadmienimy tylko, iż petersburskie pismo *Birżewyja wiedomosti*, na wstyd i hańbę Polakom, przy opisie procesu dodało uwagę, iż dawno już nie pamięta tak brudnego procesu.

W Warszawie w ostatnich dniach stycznia aresztowano p. Wł. Dawida, redaktora *Przeglądu pedagogicznego* i żonę jego p. Wandę ze Szczawińskich. Oprócz tego donoszą z Królestwa o licznych aresztowaniach robotników w Łodzi i Żyrardowie.

Ks.



Polska w Prusiech Wschodnich

(Dokończenie).

Teraźniejszy stan. Zniknięcie większych właścicieli i inteligencyi polskiej (Schön). Partykularyzm mazurski. Ogłoszenie orędzia cesarskiego po polsku. Lud. Wyznanie luterskie byłych katolików. Zaniedbanie ludu. bałamucenie go, wybory, »gbury« mazurskie. Język, literatura i czasopiśmiennictwo.

Jakkolwiek było w przeszłości, obecni Mazurzy pozostali dotąd w przeważającej liczbie na przestrzeni mniej więcej siedmiu południowych powiatów rejencyi gąbińskiej i czterech rejencyi królewieckiej. Liczbę ich podać można w przybliżeniu na pół miliona.

Z nazwisk polskich wielu większych właścicieli niemieckich łatwo się domyśleć pochodzenia polskiego. Niemal ostateczny cios wielu rodzinom z przekonania polskim zadał naczelny prezydent prowincyi pruskiej, wielki wróg Polaków i szlachty, Schön. Po wojnach napoleońskich zarządził, aby właściciele ziemscy zapłacili naraz zaległe od lat kilku raty towarzystwa kredytowego ziemskiego (Landszafty). Mało kto mógł takiemu żądaniu zadość uczynić. Rozporządzenie to równało się olbrzymiemu wywłaszczeniu i zakupnu większych majątków przez ludzi nowych z Pomeranii i Brandenburga. Tradycya postępku Schön'a istnieje pomiędzy starszą generacyą większych właścicieli polskich Prus Zachodnich, które były wówczas połączone administracyjnie z Prusami Wschodniemi w jedną wielką prowincyę Prusy. Tradycya ta jest u nich tak żywą, jak pomiędzy młodszą generacyą pod zaborem rosyjskim pamięć działania Murawiewów i Milutynów. Uczucie to pochodzi wcale nie wyłącznie z pobudek kastowych, lecz też i patryotycznych polskich. Jakąkolwiek jest warstwa szlachecka w narodzie, stanowi ona, jeżeli nie zawsze żywioł postępowy, to przynajmniej materyał, z którego on najprędzej się wyrabia tak pod względem specyalnie rolniczym, jak ogólno społecznym.

Istnieje pomiędzy inteligencyą jeszcze pewien słaby i dla rządu bynajmniej nie niebezpieczny partykularyzm czysto miejscowy mazurski. Widnieje on z następującego zdarzenia prawdziwego. W kasynie oficerskiem w Braunsberdze, mieście warmińskiem nad morzem, oficer i obywatel z pod Ełku p. L. v. L., zachowawca, oburzony na prowadzony wówczas Kulturkampf, wypowiedział namiętnie: »Ci postępowcy i liberałowie zakrywają przed cesarzem prawdę; mają to być patryoci niemieccy. Ja dumny jestem z tego, że niemcem nie jestem!« Na to podchodzi do niego szanowany wielce w tem mieście profesor K., Polak i żywo wyznaje mu serdeczną radość, że w nim rodaka odkrywa. »Ależ ja nie jestem Polakiem!« odparł — »Czemże więc?« spytał profesor. »Jestem Mazurem i kocham mój lud, jakoteż i jego język«. I zaczęli rozmawiać po polsku.

Tego rodzaju obywatel z pewnością nie dałby się użyć do politycznej agitacyi polskiej, ale niewątpliwie przemawiałby za językiem ojczystym w szkole, przyczyniłby się do utworzenia Kółek rolniczych, Kas oszczędności i instytucyj pożytecznych pomiędzy włościanami tamtejszymi, gdyby z innych ziem polskich wyszło początkowanie w tym względzie. Stałoby się to niezawodnie, gdybyśmy byli większymi ludowcami, jak np. Czesi, którzy w ten sposób przez zakładanie towarzystw ubezpieczeń i inne działanie prywatne sięgają od dawna do Słowacyi węgierskiej, bliższej nam językowo, niż im.

Jak się więc rzecz ma z ludem mazurskim w prowincyi wschodnio pruskiej?

Przed 10 laty wiadomość o ogłoszeniu w polskim języku na Mazurach wschodnio-pruskich, orędzia cesarskiego, tyczącego się otwarcia parlamentu niemieckiego, mimowolnie zwróciła wówczas uwagę na kraj nam dotąd mało znany i obcy. Ziemie braci Czechów i Serbo-Łużyczan, a nawet daleka Kalifornia i Australia, doczekały się zaszczytu obszernych i zaciekawiających wzmianek w naszej literaturze tak książkowej, jak dziennikarskiej. Więcej też one są nam znane, niż kraj, w którym cesarz niemiecki ogłasza swe orędzie po polsku, by zostać przez jego mieszkańców dobrze zrozumianym. Musi on się pewnym czuć przywiązania do siebie i monarchii swej

ze strony nie-niemieckiej ludności, jeśli nawet uważa za stosowne, choć w tym mało znaczącym wypadku, odstępować od zasad germanizacyjnych swej zwykłej polityki. Gdzieindziej w polskich krajach orędzie cesarza niemieckiego jest zawsze ogłaszane w języku niemieckim. Lud mazurski z niejednego względu zasługuje na naszą uwagę: choćby tylko dlatego, że z nami sąsiaduje i jest polskim.

Mowy polskiej używa właściwie tylko lud i ci, co zmuszeni są z nim przestawać. Przeważającą jest religia luterańska. Gdy zakon krzyżacki przemienił się na księstwo świeckie, lenne Polsce, i pierwszy książe pruski a ostatni mistrz Albrecht przeszedł na luteranizm, pojawiła się w sferach rządzących nowego księstwa dążność szerzenia wyznania tego, z uszczerbkiem katolicyzmu. Ślady dawnej wiary są jeszcze widoczne pomiędzy Mazurami pruskimi, gdyż dotąd jeszcze, jak przed kilkuset laty, spieszą, choć protestanci, na odpusty katolickie, np. do św. Lipki na Warmii w powiecie Reszelskim, a po domach swych zachowują w czci obrazki Matki Boskiej, z których niektóre przedstawiają N. Pannę Częstochowską z napisami »Królowa Polska« i »Obronicielka wiary naszej«, lub tym podobne. Wędrówki te, obrazki i napisy mają u nich niezrozumiałe jakieś znaczenie i poważanie, tak samo, jak szczątki chorągwi polskich, krzyżackich itd., porozwieszanych przy suficie parafialnego kościoła ewangielickiego w Tannenbergu w powiecie Ostródzkim. Dla Mazurów okolicznych szmaty te są drogiemi pamiątkami czczonemi prawie na równi ze świętościami. Wiedzą doskonale, że to »oni« pod Grunwaldem pobili krzyżaków; ci zaś krzyżacy w ich wyobrażeniu są jakimiś barbarzyńcami, których zwycięsko odparli i na których chorągwie zdobyli; lecz się nie domyślają, żeby to mogli być ci sami Niemcy, z tak uderzającem familijnem podobieństwem do dzisiejszych przedstawicieli cywilizacyi, pod których panowaniem się znajdują. Niemcy zanadto są przeświadczeni o tem, że zrzucenie tych szmat do żywego obruszyłoby ludność miejscową, aby na nie się targnąć. Ostatecznie jednak, mimo trwających po dziś dzień dowodów, że kiedyś, tak pod względem religijnym, jak politycznym, byli czemś innem, są przecież oni nietylko gorliwymi luteraninami, ale nadto przywiązanymi wiernie do tronu pruskiego, więc politycznie Niemcami o tyle oczywiście, o ile mało oświecony lud mieć może wybitne i świadome siebie polityczne przekonania. Przywiązania tego do luteranizmu dali raz wymowny dowód. Chciano Prusom Książęcym narzucić nową religię. Tak zwany wielki Elektor usiłował w poddanem mu księstwie rozkrzewiać kalwinizm ze szkodą dla luteranizmu; wiadomo zaś, że Prusak nie żartował i zamiary swoje przeprowadzał z żelazną bezwzględnością. Lwia energia i lisia przebiegłość niepotrafiły jednak złamać duchowieństwa luterańskiego i szlachty wówczas częściowo polskiej, oraz stojącego poza nimi ludu mazurskiego.

Naonczas lud ten, z natury hardy i śmiały, nie był się jeszcze pozbył swej przysłowiowej, mazurskiej zaciętości i pokazał, wedle rubasznego z ludu wziętego wyrażenia, »jak mazury kpów pytlują na otręby« i że, wedle niemniej rubasznego przysłowia ludowego,« kpa przez dębową deskę zobaczą, a trawę rosnącą usłyszą«. I teraz Mazur ów pruski nie przestał być gorliwym luteraninem, mimo, że w odpustach udział bierze. Wprawdzie pozostała w jego duszy tradycya niechęci względem Elektora, lecz hardość i zaciętość znikły w niem zupełnie. Bohaterowie bajki Mickiewiczowskiej »Strzyżono-golono« z pewnością nie pochodzą z pruskiego Mazowsza. Lud to potulny, sąsiadom Niemcom niedowierzający, a przez nich uważany za podstępny i chytry. Widocznemi na nim są zawsze i wszędzie powtarzające się skutki długotrwałego uszczęśliwiania przez obcych. Jest on stanowczo zaniedbanym i bałamuconym. Jako dowód niech służy następujące zdarzenie jaknajprawdziwsze, wyglądające na zmyśloną anegdotkę. Znany i zasłużony pastor Otto, którego pruski minister Müller przeznaczył był na superintendenta prowincyi pruskiej, przebywał wiele pomiędzy niedoszłemi swemi owieczkami; mówię niedoszłemi, albowiem już po otrzymaniu nominacyi, nie miał

czasu się zainstalować, gdy nastała zmiana ministerstwa i nowy minister oświaty Falk, słynny bojownik kulturkampfu i wróg Polaków z obozu tegoczesnego liberalizmu niemieckiego, pospieszył się cofnąć wszelkie rozporządzenia swego poprzednika. Pastor Otto nie został superintendem, ale często rozmawiał z Mazurami, a ci przyznawali mu, że rozmawiają po polsku. Lecz gdy ich się pytał, czy są Polakami, żaden nie chciał się przyznać do tego. Zacny pastor zachodził w głowę, co mogło spowodować to dziwne skoszlawienie umysłu i przypuszczał, że bezwiednie imponowały prostaczkom pruski porządek, systematyczność i ład, a zrażało ich na pół świadome podanie o anarchii polskiej. Chcąc zbadać do gruntu smutny, lecz ciekawy ten objaw, uwziął się na jednego z inteligentniejszych gospodarzy i przyparł go do muru tak, że ten po długiem wahaniu się i wykrętach przyznał, iż Polakiem nie jest, bo koni nie kradnie. Wyjaśniło się, że lud Polakami nazywa tych koniokradów, którzy niecne rzemiosło swoje uprawiają w Królestwie Polskiem, a zdobycz swą sprzedają potajemnie na Mazowszu pruskiem.

Nie można też powiedzieć, żeby się inteligencya miejscowa niemiecka o niego troszczyła, boć troską nazwać nie można wyzyskiwanie głosów i bałamucenie przy wyborach. Zwłaszcza stronnictwo liberalne ogłosiło i rozrzuciło mnóstwo odezw w polskim języku, aby swych posłów przeprowadzić. Główne argumenta agitatorów są: nie dajcie kartek na konserwatystę, bo on nigdy nie dotrzymuje słowa i chce coraz większe podatki na lud nałożyć; tymczasem liberalni chcą zmniejszenia podatków a wierni są królowi. Nieobywa się też bez poezyi w tych odezwach do Mazurów, jak n. p.:

Dyrychleta obierajcie,
A Mirbacha poniechajcie;
Mirbach baron mości panie,
Co on dba o waszym stanie.
On bez biedy w maśle siedzi
Gdy się wieśniak mocno biedzi.

. . . .

A Dyrychlet mąż kochany
Niech przez was będzie obrany,
On was wszystkich chce ocalić,
Wiele brzemion z pleców zwalić.

To się nazywa tendencyjność w literaturze pięknej! Dodać należy, że długie dość odezwy pod tytułem »Ogłoszenia prawdy« w tym samym duchu prozą wcale dobrze po polsku są napisane. Czytamy tam między innymi argumentami to, że »wstecznicy«, czyli konserwatyści chcą zaprowadzić, oprócz większych podatków, także powiększenie ceł przy granicy rosyjskiej. Osoba monarsza w tych odezwach jest po nad stronnictwa postawiona, co nie przeszkadza, że nacisk kładzie się na to, aby głosować przeciw rządowi, przeciw urzędnikom i ministrom, co zgadzać się ma jaknajzupełniej z wiernopoddańczem uczuciem dla króla. Mazury przywiązani są widocznie do monarchy, jeżeli liberały tak usilnie dowodzą, że równie gorąco, jak zachowawcy, króla miłują.

Chociaż smutne dla nas bezwątpienia jest takie widoczne wyzyskiwani głosów i przekonań polskich dla obcych celów, to służy i ono nam może do tego, że daje miarę, jak szeroko żywioł polski się rozciąga na Mazowszu Pruskiem tak, jak ukazy carskie, zabraniające Polakom kupować i dzierżawić ziemię, zakreślają jasno granice jego. Liberalne bowiem wezwania do wyborów, jak wspomniane wyżej »Ogłoszenie prawdy,« rozszerzane są w następujących powiatach: Żądzborskim (Sensburg), Szczycieńskim (Ortelsburg), Margrabowskim (Oletzko), Ełckim (Lyck), Jańsborskim (Johannisburg), Osterodzkim - Niborskim (Neidenburg), Węgoborskim (Angerburg), Leckim (Lötzen), Olsztyńskim (Allenstein), Reszelskim (Rössel).

Ostatnie dwa powiaty wprawdzie są również przez Mazurów zaludnione, lecz przeważnie katolickie i zwykle nie objęte mianem Mazurów, ale Warmii; tam się znajduje Gietrzwałd (Dietrichswalde), cudami wsławione miejsce. Właściwi Mazurzy Pruscy są przeważnie lutrzy, mimo dosyć licznych stacyj misyjnych katolickich, pomiędzy nimi się znajdujących.

Na Mazurach istnieje klasa zamożnych gospodarzy, czyli tak nazwanych »gburów« (z niemieckiego Gebauer, Bauer, chłop), posiadających kilka do kilkunastu włók pruskich (włóka pruska = trzydzieści włók magdeburskich = $^1/_2$ włóki nowopolskiej = 15 mórg nowopolskich). Cena włóki przeciętna wynosi 2000 talarów, ziemia jest średnio urodzajna, niedorównywa ziemi czysto niemieckich bliżej Królewca i morza położonych okolic; lecz nie jest tak jałowa lub nieurodzajna, za jaką ją uważają powszechnie. Miejscami jest nawet bardzo dobra, jednak przeciętna cena dwóch tysięcy talarów jest niska. W każdym razie jest lepszą, niż na Kaszubach zachodnio-pruskich i pomorskich. Stosunkowa nieurodzajność tych ziem polskich przyczyniła się w części do zachowania żywiołu polskiego na tych kresach naszych. Lepsze ziemie chciwiej są wykupywane przez przybyszów niemieckich.

Owa klasa »gburów« w ostatnich czasach do znacznej podniosła się zamożności, pobudowała się dostatnio, prawie pięknie, tak, że niejeden zubożały ziemianin z innych części Polski, zakupiwszy »gburstwo« takie, mógłby się czuć szczęśliwym w kraju zrozumiałego dlań języka i dorabiać się, nie potrzebując życiem nad stan dostosowywać się do trybu życia swych niezubożałych krewnych i znajomych.

Czy ogólna kultura ziemi postąpiła razem z okazałością budynków gospodarskich?

Zdaje się, że mniej; gbur mazurski jest zachowawcą — bo nie ma gdzie się nauczyć postępowego gospodarstwa!

Nikt mu nie dopomaga do wiązania się w kółka rolnicze — do ustanawienia i rozpowszechniania kas oszczędności, lub instytucyj pożyczkowych.

Istnieją niemieckie rolnicze szkoły np. w Węgoborku (Angerburg), lub nieco wyższy w tym rodzaju zakład w Olecku. Wykształcają one synów gospodarskich na ekonomów lub inspektorów Chwalą wychowańców mazurskich. Przy dających się słyszeć powszechnie skargach w Księstwie i Prusiech Zachodnich na brak dobrych rządców — nasuwa się myśl, czy nie opłaciłoby się dla tych prowincyj sprowadzać Mazurów na urzędników gospodarczych.

Polszczyzna ludu mazurskiego jest bardzo dobra; dosyć powiedzieć, że lepiej mówią, niż w ziemi Chełmińskiej, lub części Malborgskiej, które to prowincye są czysto polskie i katolickie, a słyną z dobrej mowy u ludu. Tylko wymowa mazurska i pewne wyrażenia, jakby ze złotego wieku przechowane, nadają mowie ich pozór więcej odmiennej gwary, niż nią jest rzeczywiście. Lud od wieków odcięty od ogólnopolskiego ogniska, czy też do jego ciepła nie sprowadzony, musiał w mowie swej — mało kształconej i rozwijanej — zachować mnóstwo archaizmów. To samo zresztą widzimy na Szląsku, to samo wśród Słowian łużyckich, lub Wendów nareszcie. To też autorowie XVI. wieku chętniejszych, niż gdziekolwiek znaleźliby na Mazurach czytelników przy wyższym poziomie oświaty i mniej tendencyjnie germanizatorskich szkołach. Polsko-ewangielicki zbiór pieśni nabożnych, czyli „*Kancyonał Pruski, zawierający w sobie Wybór Pieśni starych i nowych, w ziemi Pruskiej i Brandenburskiej zwyczajnych, z wyrokami Pisma Św. nad każdą pieśnią, z gorliwewi modlitwami kościelnemi, pospolitemi i osobliwemi, wszystkim wobec służącemi*“ mieści w sobie prawie wszystkie psalmy Kochanowskiego i bardzo wiele innych pieśni tego samego stylu starodawnego, czy kościelnego.

Z Królewca, gdzie jest drukowany w znanej drukarni Hartunga, rozchodzi się w licznych egzemplarzach na Mazowszu pruskiem i nieco na Szląsku pomiędzy protestanckimi Polakami. Zasługuje on ze wszechmiar na wyczerpujące zbadanie przez którego z naszych filologów. Zaznaczenia godne też są Postyle Dąbrowskiego, tj. zbiór kazań protestanckich w polskim języku, ułożony przez pastora Dąbrowskiego.

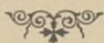
Co do czasopiśmiennictwa, to, nie sięgając do *Gazety Królewieckiej*, która za czasów Rzeczypospolitej przed 200 laty wychodziła i była jednem z pierwszych pism czasowych polskich, wspo-

mnieć wypada, że w latach 1842 i następnych wychodził w Ełku *Przyjaciel ludu Łecki*, pod redakcyą pastora *Gizewiusza*. Świetnie i w bardzo gorącym duchu patryotycznym polskim prowadzone było to pismo. Było ono jednem z pierwszych pism ludowych pod pruskim rządem i zwróciło uwagę ówczesnej emigracyi polskiej w Paryżu. Szczególnie stronnictwo demokratyczne naszej emigracyi zajmowało się żywo Mazurami wschodnio-pruskimi z tego powodu. Wychodziły potem inne w duchu pruskim i wrogim Polsce, n. p.: *Prawdziwy ewangelik*, *Przyjaciel ludu*, *Gospodarz wiejski*. Szczególnie odznaczał się zaciętością przeciw Gizewiuszowi, Polsce i katolicyzmowi niejaki *Gąsiorowski*, który do tych pism pisywał i sam niektóre z nich redagował. Do 1892 r. wychodził jeszcze tygodnik *Gazeta Lecka* w Lecach (Lötzen) pod redakcyą Gerssa. Pismo to wychodziło najdłużej, bo całych kilka lat dziesiątków; z początku było ono wrogiem sprawie polskiej, potem dość złagodniało w swej niechęci. Przez parę lat, w r. 1883, 1884 i 1885 wychodził *Mazur*, redagowany przez J. K. Sembrzyckiego z tendencyą polską i ewangielicką.

Wychodzą też w polskim języku kalendarze; rocznie Gersz odbijał ich przed laty kilkanaście tysięcy egzemplarzy co rok. Również tyle drukował *Sembrzycki*.

Jak bałamutne są pojęcia nawet ludzi pisujących po polsku na Pruskiem Mazowszu, może posłuży za miarę jaknajautentyczniejsze wynurzenie się jednego z nich w pewnej rozmowie poufnej, w której wyraził się, że pracuje nad *Słownikiem mazurskim* i nad *gramatyką mazurską* i że leży mu na sercu zbliżenie 2 narodowości *polskiej i mazurskiej*.

S. Oksza.



POWIEŚĆ i POEZYA.

NIEOBECNI.

OPOWIADANIE

T. T. JEŻA.

(Ciąg dalszy).

Hrabia nasłuchał się o Francyi wiele złego, nie od ojca wprawdzie, którego ona nie obchodziła zgoła, ale od ojców, którzy serce jego i umysł kształcili i którzy wpajali weń *de bons principes*.

Wyrażam się po francusku dlatego, że przytoczone w dosłowności swojej językowej wyrażenie posiada właściwy sobie, że się tak wyrażę, zapach, który ginie w dosłownem polskiem tłómaczeniu. *Bons principes*, *bons pères*, — »dobre zasady«, »dobrzy ojcowie« nie znaczą tego, co po francusku, albowiem u nas dobry dobrym jest, u francuzów zaś »dobry« naprowadza na myśl zakrystyą, konfesyonał, kropielnice i inne tego rodzaju »dobre« rzeczy, zaznaczone szczególnem piętnem i szczególną a niekonieczne w mniemaniu powszechnem dobrą tendencyą.

Owoż młody pan w takiej to »dobrej« wyrastał sferze. Wpajano weń wszystko: nauki i zasady — pierwsze, o ile do umysłu przystawały, drugie za to w sposób forsowny, w towarzystwie pacierzy, ćwiczeń pobożnych, katechizmów mniejszych, katechizmów większych, historyj świętych w streszczeniu i w pełnem obrobieniu, dogmatyk filozofii i homilii. Zabierało to trzy czwarte czasu na nauki przeznaczonego i stanowiło oś, do której odnosiły się nauki wszystkie, jakie istnieją, a zatem i historya francuska, przykrojona i zaprawiona w sposób taki, ażeby nie stawała względem osi w sprzeczności najmniejszej. Jak tam przeto traktowaną była prawda historyczna — ano!... Miała się biedaczka zpyszna, wyszła bowiem na prawdę bez krwi, bez kości, bez żył, bez muszkułów, jakąś galarecianą, trzęsącą się ze strachu i mieniącą ze wstydu. *Les bons* ojcowie wpoili w ucznia wstręt do tego wszystkiego, co jest zdobyczą postępu, a zatem do Fran-

cyi szczerej, ludzkiej i na bolesne wystawiającej się próby. Francya ta wychodziła z ich nauk w postaci szalbierki i zbrodniarki, krzywdzicielki Francyi innej, powstrzymywanej na drodze pełnienia dzieł bożych za przewodem pomazańca bożego. Młody hrabia przejął się tem i poważny kuzyn nie przemawiał do nieprzysposobionego. Zamiast »przysposobionego«, napisać chciałem »przekonanego«; alem się powstrzymał na myśl, że młody ten człowiek przekonanym nie był o niczem. Wszystko, co posiadał jako umysłowy i moralny dorobek, wszystko to było dziełem wpojenia. Wpojono weń wstręt do Francyi i on wstręt ten posiadał, czuł go żywo, ale platonicznie, a to stąd, iż się za francuza nie uznawał. Nie uznawał się za francuza; nie był polakiem; znajdował się w powietrzu niby — albo raczej, był to europejczyk, syn wielkiej ojczyzny, człowiek znakomitej rodziny, wielki bogacz, któremu wszystko było jedno przebywać tu, tam lub owdzie. We względzie tym, w instancyi ostatniej rozstrzygała fantazya. Mógł był zamieszkać we Wiedniu, w Berlinie, w Madrycie; — zamieszkał w Paryżu dla... *Figara*, z pod prasy wychodzącego wprost. Bez żalu, bez tęsknoty opuścił krainę, w której dobra posiadał, która rodzinną jego była.

Ale hrabina, czy także krainę tę opuszczała bez żalu i bez tęsknoty?

Pytanie.

Urodziła się w Polsce i wyrosła w Polsce; wychowanie jej poszło trybem tymże samym, co wychowanie hrabiego. Jak w niego *les bons pères*, tak w nią *les chères soeurs* wpajały wiedzę i zasady, pierwszą — w dozach homeopatycznych, drugie — strumieniem szerokim, który zalał duszę jej i serce. Umysł jej stał się formularzem, którego rubryki zapełniały adnotacye i przepisy, nie mające w życiu potocznem, w odniesieniu do oczekujących na nią obowiązków, najmniejszego zastosowania. Wyszła z klasztoru na kształt powoju, niemogącego obejść się bez podpory. Na pensyi opierała się o przełożoną; na świecie znalazła oparcie w spowiedniku. W stanie takim za mąż wyszła, tracąc przez to i matkę przełożoną i księdza spowiednika dla małżonka, do którego czuła jeno brak wstrętu. Wydano ją — wyszła i, wyszedłszy, a nie wiedząc dobrze, co z tym fantem robić, uważała za rzecz najwłaściwszą towarzyszyć mu do Paryża. Dodać należy, iż ją tam ciekawość ciągnęła. Paryż przedstawiał się jej coś trochę nakształt owocu zakazanego. W klasztorze i za klasztorem nasłuchała się o nim złego tyle! Miejsce zaguby! Gubić się nie chciała, ciekawą jednak była wielce, jak też to straszne miejsce wygląda.

Pojechała więc.

Na dworzec kolejowy odprowadzało młodą parę osób kilka, krewnych bliższych. W gronie ich znajdował się też ksiądz Alfons. Hrabina nie dopuściła się tego złego tonu, ażeby łzami przy pożegnaniu zalewać się miała. Nie. Żegnała się z uśmiechem na ustach; wsiadła do przedziału rezerwowanego w wagonie pierwszej klasy; pociąg ruszył, ku Krzeszowicom posunął i, gdy minął stacyj kilka, uczuła, jak łzy cisnąć się jej na powieki poczęły. Siedziała w kącie zaprzeciwko hrabiego. Przez minut kilka nad sobą panować umiała. Siły jednak opuściły ją nakoniec. Poniosła do oczu chusteczkę batystową i powieki nią nacisnęła.

— *Voyons*, Liza... — odezwał się wnet hrabia. Powiedziałbym, że płaczesz...

Do okna się zwróciła i lekko westchnęła.

— Powiedziałbym, *ma foi*, że płaczesz...

— To nic... — z cicha szepnęła.

— Żal ci... Krakowa?... — zapytał zdziwienia tonem.

— To nic... — odrzekła, usiłując nad wzruszeniem panować.

— Przecie... Żal ci być musi czegoś, albo kogoś...

Na wyraz ostatni usta jej zadrżały, w obliczu nastąpiło ściągnięcie nerwów, zapowiadające wybuch płaczu nie na żarty; w tejże samej chwili jednak zdobyła się na taką siłę woli, że, zamiast płaczem wybuchnąć, uśmiechnęła się. Uśmiech to był z rodzaju tych, które pospolicie gorzkich noszą nazwę. Uśmiechnęła się jednak i tego nawet dokazała, że wyraz goryczy na wyraz słodyczy zmieniła.

— *Voyons*, Iza... żal ci kogoś...

— *Si*... — odrzekła.

— Kogo, jeżeli spytać wolno?

— Matki przełożonej...

— I ojca spowiednika zapewne?

Hrabinie oczy zamigotały; spuściła je, znów podniosła, znów spuściła, wreszcie z ukosa rzuciła na hrabiego spojrzenie nacechowane wyrazem powściąganej wymówki czy pretensyi. Hrabia, zdaje się, nie poznał się na tem, dalej bowiem tonem swobodnym ciągnął:

— Byłbym go chętnie do Paryża z nami zabrał... Cóż jednak!... Konsystorz na przeszkodzie stanął... Wszakże, po jakimś czasie, jeżeli w Paryżu nie znajdziesz spowiednika, który cię zadowolni, wezwiemy go... przyjedzie... Mnie — dodał — o nic bardziej nie chodzi, jak o czynienie upodobaniom twoim zadość... Będzie to jednem z najważniejszych starań moich...

— Dziękuję... — odrzekła hrabina, podnosząc na hrabiego oczy uśmiechu uprzejmego pełne.

— A w Paryżu jest na czem upodobania ćwiczyć...

— Miasto resursów pełne... — wtrąciła.

— Przepełnione... Rozmyślam właśnie nad tem, jak ci je pokazać, albo raczej, od czego pokazywanie rozpocząć...

— Od czego... — zapytała.

— Nad tem właśnie myślę i nie wiem... i waham się... i... zamyślił się, do czoła dłoń poniósł — i... nie wiem...

— Wjedziem przecie do Paryża, więc się on nam pokaże sam...

— Prawda!... — podchwycił hrabia, lecz dodał po chwilce: — nie o to jednak chodzi... To, co się samo pokaże: cóż to jest?... bulwarów kawałek, opera i Magdalena, trochę bramy tryumfalnej, Pól Elizejskich i tyle...

— Czyż to mało?

— Nie o to chodzi... Przyjedziem pociągiem porannym, to znaczy w porze dnia, w której nikt się na Paryż nie patrzy... A!... oglądać Paryż w chwili, w której robotnicy do warsztatów idą!... Piękna mi rzecz!...

Hrabina nic nie odrzekła na to. Uwaga była słuszna. Oglądać Paryż wraz z robotnikami wydało się jej czemś takiem, do czego ludzie przyzwoici przyznawać się nie mogą. Kwestya ta przeto w zawieszeniu pozostała i podróż dalsza odbyła się bez najmniejszego na zanotowanie zasługującego zdarzenia. Ani łzy nawet nie cisnęły się już więcej za powieki młodej kobiecie, zmieniającej ognisko ojczyste na inne, obce, nieznane.

Obce?... Nieznane?... Wniknąwszy w istotę rzeczy, ognisko to nie było dla hrabiny Izy ani w tym stopniu obce, ani tak nieznane, jak śmiertelnikom i śmiertelniczkom, nienależącym do tej specyalnej społeczeństwa sfery, do której się hrabina zaliczała. Należała ona bowiem do sfery specyalnej, do arystokracyi w arystokracyi, pełniącej w obec prądów czasu tę funkcyę, jaką w warowniach pełnią cytadele, te ochrony ostatnie, które służą, po upadku dzieł zewnętrznych, jeśli nie do obrony, to do wymożenia na przeciwniku kapitulacyi honorowej. Schron tego rodzaju zbudował Zygmunt Krasiński w *Nieboskiej komedyi*. Hrabina była z domu hrabianka Lodoiska, nazwisko znane u nas, znane bardziej jeszcze zagranicą i znające zagranicę w Polsce, t. j. noszone przez gatunek dwunożnych, hodowanych w rodzaju cieplarni, urządzonej według modelu jednego i tegoż samego tu, tam i wszędzie. Gatunek ten obcym jest społeczeństwu miejscowemu, zarówno w Polsce, jak we Francyi, i takie się nad nim niekiedy cuda dokonywują, że w Polsce jest francuskim, we Francyi zaś polskim, najczęściej atoli ani takim, ani owakim; ale, ponieważ być nie może nijakim, przybiera przeto barwy katolicike, staje się kosmopolitycznym, przystraja się w minę skwaszoną, gani wszystkich, krytykuje wszystko i broni — broni... podeptanych praw, uciśnionej niewinności, prześladowanej cnoty, tych praw, tej niewinności, nad któremi, gdy im się ludzkość pilniej przypatrywała, stanął ogromny znak zapytania. Znak ów stoi i nie przeszkadza bynajmniej rzeczonemu gatunkowi istnieć, kwasić się i bronić — bronić praw, niewinności i cnoty czynnie nawet za pomocą takich, n. p. banków, jak te, którymi dyrygował Langrand-Dumonceau, lub Bontoux. Jest to forma szczególna okopów św. Trójcy, w których hrabia Henryk bierze na się postać wekslarza i akcyami zastępuje ar-

maty, a ażiem — kule, powołując do obrony wszystkich, bez różnicy narodowości, wszystkich, których obchodzi wielkie dzieło, powlekające barwą jedną członków wielkiego bractwa arystokratycznego. Do tego to bractwa należała hrabina młoda i dzięki należeniu temu Paryż nie był jej ani zupełnie obcym, ani całkowicie nieznanym. Z góry wie działa, co ją tu oczekuje; z góry miała pojęcie o świecie, do którego wstąpi, o towarzystwie, którego cząstką w Krakowie jeszcze była. Paryż przeto nie pod względem towarzyskim, ale tylko jako miasto, był dla niej rzeczą nową.

Na dworcu kolei strasburskiej czeka na młodą parę pojazd — kareta elegancka, z herbami na drzwiczkach, zaprzężona parą dzielnych niepewnej maści koni, które wprawną ręką prowadził człek wspaniały — automedon — z nieruchomością posągu siedzący na koźle, który się wydawał piedestałem. Obok niego zajmował siedzenie drugi człowiek, również posągowo unieruchomiony. Liberyi na nich i poprawności ich postawy do zarzucenia nie było nic. Powaga ich świadczyła o wielkości wielkopańskiej, która zajmowała głąb karety, zaopatrzoną w obciągnięte aksamitem materace i przedstawiała się pod postacią dwojga ludzi młodych, siedzących jedno obok drugiego.

Hrabina, czy dlatego, że podróżą była zmęczona, czyli też dla tego, że do serca wzięła słowa męża, iż na Paryż w godzinie porankowej robotnicy jeno patrzą, nie zwracała wcale uwagi na przesuwające się w oknach karety przed oczami jej przedmioty. Przez Paryż jechała, ale Paryża nie widziała. Przejazd był długi — pół mili z górą: znaczna część ulicy Lafayette, bulwary, ulica Royale, Pola Elizejskie, plac de l'Etoile, aleja Jeńska. Na tej ostatniej pojazd zatrzymał się przed pałacem, którego kant każdy świadczył, że jest mieszkaniem bogacza. Ale jego pozór nowoczesny niekoniecznie go zalecał. Arystokracya francuska, arystokracya stara zamieszkuje gmachy, posiadające cechy daty dawniejszej. Przy bulwarach i alejach lokują się dorobkiewicze, albo też tacy, których zbieg okoliczności szczególny zniewolił penaty swoje skądinąd do Paryża przenieść. Tym ostatnim nie zawsze i nie każdemu trafia się hotel Lambert do nabycia. Zabudowują się więc w okolicy Pól Elizejskich, gdzie, mając powietrza i słońca poddostatkiem, znajdują się przytem z dala od mieszczaństwa, mrowiącego się na szachownicy, poprzerzynanej arteryami, na których odbywa się ruch handlowy wewnętrzny. Korzyść to; żeby zaś korzyść zupełną była, stawiają pałace wspaniałe, które właścicieli swych wyróżniają w tłumie. Takim właśnie był dom, gdzie mieszkał hr. Artiur Ruczajski. Nie stykał się on z domami na prawo i na lewo, a oskrzydlały go duże monumentalne bramy, jedna prowadząca do remiz, to jest stajni, druga postawiona dla symetryi; wejście bowiem główne wraz z podjazdem znajdowało się od ulicy, służebne zaś *(service)* wychodziło na przejazd stajenny. Gzymsowania, kolumny, ozdoby, karyatydy, balkon podtrzymujące, zarysy linii architektonicznych nic pod względem wytworności i poprawności do życzenia nie pozostawiały. Co więcej: patrząc na to, nie przychodzi na myśl wykrzyknik: jakież to kosztowne! Pozór domu piękny usuwał myśl o kosztowności, cisnącą się do głowy na widok budowli, stawianych przez umilionowione, a dodatkiem *de* zdobiące nazwiska swoje mieszczaństwo. Tu *de* ani się czuć dawało. Widziałeś piękno, występujące pod postacią domu mieszkalnego, wznoszącego się nie więcej jak na dwa piętra i proporcyonalnego we wszystkich częściach swoich.

Przed domem tym kareta się zatrzymała; lokaj z kozła zeskoczył i drzwiczki otworzył; wysiadł pan, wysiadła pani; drzwi wchodowe same niejako otwarły się przed nimi i za nimi, na podsieniu, okolonem z wysokości pierwszego piętra galeryą, która galeryą malowideł była, powitał ich zastęp służby, składający się z tuzina płci męskiej osób, odzianych częścią w liberyę, częścią w czarne fraki, białe krawaty i białe rękawiczki. Rzekłbyś, że to urzędnicy wszyscy, dostojnicy: tyle w nich było akcentu tego, który znamionuje uczucie godności własnej. Głowy pochylili z uszanowaniem. Hrabia głową skinął; hrabina się uśmiechnęła.

— Cóż tam?... — zapytał hrabia Artiur, zwracając mowę do człeka siwego i łysego, ale u którego brak włosów na głowie wynadgradzała sowicie ich obfitość na policzkach. Czy jest co nowego?...

— Nowość jedyna polega — odrzekł zapytany z ukłonem — na radości, jakiej doznajemy z przybycia waszego, panie hrabio i pani hrabino...

— Tyle tylko?...

— Jest to wiele...

Słowa te służba cała podkreśliła ukłonem, po którym się powtórnie pochyliła, i uśmiechem zbiorowym, który rozjaśnił twarze i pozostał w oczach.

— To dobrze... — odpowiedział hrabia i, ramię hrabinie podając, zapytał. — Trochę toalety, nie prawdaż?... Wypoczynek może?...

— Zmęczenia nie czuję... — odrzekła kobieta.

W takim razie...

Tu na siwego męża spojrzenie zwrócił, a ten wnet odpowiedział:

— W oranżeryi, panie hrabio... stosownie do otrzymanego przez telegraf rozkazu...

— *C'est ca*... była młodego pana odpowiedź.

Hrabia odprowadził hrabinę do wygodnych, kamiennych, kobiercem miękkim a kosztownym wysłanych schodów i, ramię jej puszczając, przemówił:

— Z konieczności rzeczy, w tej pierwszej chwili przewodnikiem twoim być muszę, Izo... Ale to chwilkę tylko potrwa... Dziś jeszcze, wnet po śniadaniu — dodał z akcentem szarmanteryi w głosie — oddam się pod przewodnictwo twoje... Panuj wspaniałomyślnie i łaskawie...

— Nie zawiodę cię... — odrzekła z akcentem, odpowiadającym harmonijnie akcentowi słów męża.

— Będziesz *bonne princesse*... i niewątpię o tem...

Tak rozmawiając, prowadził młodą żonę schodami na piętro, na którem, minąwszy kilka z przepychem gustownym umeblowanych pokojów, zatrzymał się przed portyerą, w której, niby posąg, zjawiła się młoda kobieta z podniesionem do góry ramieniem. Portyera około postaci kobiety tej układała się w draperyę artystyczną, spływając z ramienia w dół i pół kibici je osłaniając fałdami, migocącemi szyciem złotem, które się przebijało na zielonem w ciemne desenie tle, zafarbowanem umyślnie tak, ażeby niby wypłowiałe wyglądało. Kolor to modny na firanki rodzaju wszelakiego — zarywa on na antyczność, za którą gonią szczególnie baronowie daty najświeższej: wydaje się im, że firanka wypłowiała zastąpi drzewo genealogiczne. Za kolorem tym gonią i malarze gdzie-niektórzy. Przypuszczać więc należy, iż posiada on zalety estetyczne. Co jednak przypuszczenie w opisywanej przez nas sytuacyi w rzeczywistość zmieniało, to dziwny jakiś urok, bijący od portyery, — nie od portiery samej, dodać pospieszamy, ale od podnoszącej ją ramieniem jednem postaci niewieściej — postaci kształtnej, szykownej i dziwnie ponętnej. Wyglądała ona jak posąg, albo raczej, jak sposągowiała na chwilę istota rodzaju człowieczego, płci pięknej — oh! pięknej — odziana w ciemno-popielatą, szarą sukienkę, w biały fartuszek, w krzyżującą się na piersiach chusteczkę, w czepeczek biały i — w co jeszcze? — no, we wszystko, co odzież niewieścią stanowi, a stan służebny oznacza. Wszystko to złożyło się na rzecz jedną: na uwydatnienie jaknajmocniejsze wdzięków, od dołu do góry owiewających służebnicę i uwydatniających się pod złotem migocącą draperyą. Rzutki złote obiskrzały ją niby i roziskrzały, pomimo, że portyera cień na nią rzucała. Lica jej delikatnie narysowane, usta do uśmiechu uprzejmego złożone, oczy szafirowe, kasztanowego koloru włosy, stanowiące ramki dla oblicza piękności skończonej, nabierały od iskier tych wyrazu szczególnego — zjawiskowego.

Hrabia i hrabina zatrzymali się przed nią mimowolnie, machinalnie.

Hrabia zdaje się, zapomniał się nawet, wpatrzony w zjawisko.

Hrabina, zdaje się, uległa również wpływowi uroku, ale krócej, aniżeli mąż; po chwilce bowiem zwróciła się do niego i w oczach wyraz zapytania miała, wyraz, na który on nic nie odpowiedział, aż ona w głos odezwać się musiała:

— Artiurze, co to?...

— Co?... — odrzekł, co...

»Co« owo brzmiało w ustach jego, jak dźwięk pusty.

Wnet poprawił się jednak:

— Ale... ale... ja... nie wiem...

Wyglądało to na poprawienie się z pieca na łeb. Znów się przeto poprawiać musiał.

— Ale... — zaczął tonem zaambarasowanym nieco — wszak to, Izo, apartamenta twoje... Wszak tak?... — zapytał pięknej nieznajomej.

— Tak, panie hrabio... — odrzekła zapytana, nie zmieniając postawy.

Głos z ust jej wypłynął śpiewnie jakoś i nadzwyczajnie słodko.

— To są pani hrabiny apartamenta?...

— Tak, panie hrabio... — odrzekła powtórnie.

— A... eh... pani, panno?...

— Jam jest pani *la première femme de chambre*...

»Masz, dyable, kaftan!« — powiedziałby niejeden na miejscu hrabiego, usłyszawszy tę odpowiedź. Hrabia nie powiedział tego, ale to dla tej racyi, że, po polsku nie umiejąc, nie wiedział, iż w razach podobnych wykrzywnik ów służy za rodzaj deski zbawienia. Nie wygłosił przeto wykrzyknika, ale w duchu dwukrotnie rzekł do siebie: *diable*... *diable*, hrabinie się skłonił i, ręką wskazując, przemówił do niej:

— Oto są apartamenta pani...

Hrabina z uśmiechem dłoń mu podała.

— Do widzenia... — odezwał się — niebawem...

— A tak... do widzenia...

— Niebawem?... — zapytała z przymileniem uprzejmem.

— O!...

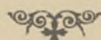
Młoda pani kroków kilka naprzód zrobiła, próg przestąpiła; *la première femme de chambre* ramię umknęła, portyera spadła — zjawisko znikło.

Hrabia przed ciemno-zieloną w złote rzutki zasłoną pozostał sam i przybrał postawę taką, jaką przybiera człowiek, gdy mu drzwi przed nosem zamkną niespodzianie. Człowiek w razie takim nie wie zazwyczaj, co począć: czy drzwi nogą wywalić, czyli też odejść w spokoju. Przed hrabią znajdowała się przeszkoda, najmniejszego oporu stawić nie zdolna. Była ona jednak mocniejsza, aniželi podwoje żelazem kute. Hrabia stał, na portyerę spoglądał, stał przez chwilę i oddalił się w zamyśleniu, unosząc w wyobraźni obraz istoty, która była nie czem innem, jeno *la première femme de chambre*, to jest, poetycznie się wyrażając, odaliską, wyrażając się zaś niepoetycznie, starszą panną służącą.

Widzę zoilów, czytających opowiadanie niniejsze, uśmiechających się złośliwie i na karb autora notujących na marginesie: »Ubóstwo imaginacyi... szpagat.«

Zdaje się wam, zoile mili, że pokojówka ta, ksiądz Anzelm, na ten istnieją cel, ażeby intrygę sprowadzić, zawiązać, poplątać i teatralnie takową zakończyć. Czytajcie jednak dalej, zobaczycie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



J. NITOWSKI.

OSTATNI DZIEŃ ARKONY.

(Rzecz dzieje się na wyspie Ranie w roku 1168).

OSOBY:

ARCYKAPŁAN przy świątyni Swantewida.	MOJMIR.
JAROMIR, książe Ranów.	HAROLD, duńczyk.
WALDEMAR, król duński.	WRÓŻKA.
	KSIĄDZ chrześciański.

Wojsko Duńczyków i Ranów. — Tłum mężczyzn. — Chór dziewic rańskich.

(Gród w Arkonie. — Na placu tłum mężczyzn. — Zdala widać świątynię Swantewida).

Chór dziewic.

Spalone lasy, zburzone sioła,
Posągi bogów strzaskane,
Łuny pożarów świecą dokoła;
Już tłumy wrogów zalały Ranę,
A bracia nasi na straszne boje
Poraz ostatni biorą oręże.
Biada nam, biada, rańskie dziewoje!
Śpieszmy im złożyć uścisk siostrzany,
Po raz ostatni może
Obrońcom Rany
Pocałowanie złóżmy na czole.

Wróżka (wybiega z tłumu).

Gdzie bohatery, gdzie męże?
Cóż to? Nikt nie odpowiada,
U wszystkich widzę na szyi obroże
I piętno hańby na czole.
Biada nam, biada!
(Wybiega).

Głosy z tłumu.

Wróżka szaleje!
(Wchodzi Jaromir).
Cicho, książę idzie!

Jaromir.

Gdzie arcykapłan?

Jeden z tłumu.

Poszedł do świątyni:
Wkrótce nadejdzie świętych wróżb go-
[dzina;
Koń Swantewida gotowy już stoi
I włócznia leży. Arcykapłan czyni
Przygotowania do wróżb; u podwoi
Świątyni właśnie modlitwy poczyna.

Jaromir.

I cóż to pomoże!
Kto dawnych sił zasób powrócić nam zdoła
I w piersiach ogień zapali?
Kto blaskiem nadziei rozjaśni nam czoła
I włoży serce ze stali,
Kto?
(W tłumie milczenie).
Właśnie w tej chwili
Zbrojni duńczycy z za morza przybyli.
Tłumy ich z wodzem żelaznym na czele
Na ląd już wyszły z okrętów i śmiało
Na brzegach rańskich zatknęły sztandary.

Jeden z tłumu.

Widziałem Danów: od końca do końca
Już całe wschodnie zajęli wybrzeże;
Wszyscy orężni i zakuci w zbroi,
Połyskującej złotem w blaskach słońca,
A z nimi swoich złączyli rycerzy
Książę Botrytów i książę Pomorza,
Któż się ich męztwu i sile ostoi,
Gdy na nas całe to wojsko uderzy?
W zwycięztwo nasze nie uwierzę, panie!

Jaromir.

Wkrótce poselstwo ich przed nami stanie.
Dla tego właśnie pytać was przychodzę,
Jaką odpowiedź dać posłom należy.

Głos z tłumu.

Patrzaj na naszą odzież poszarpaną,
Na dzieci nasze, mordowane srodze,
Na wsi i pola nasze poniszczone
Ogniem i mieczem żelaznych rycerzy —
I z tego wnioskuj, jaką dać odpowiedź,
Kiedy posłowie Duńczyków tu staną,
Bronić czy poddać Arkonę.

Jaromir.

Jakto, więc wojna?

Pierwszy z tłumu.

Długośmy walczyli
I z takiem męztwem, jak nasi ojcowie,
Aż do ostatniej walczyliśmy chwili.
Jakaż z tąd korzyść? Czyj język wypowie
Te wszystkie wojny długoletniej klęski
I komuż serce silniej nie zaboli
Na widok kraju naszego niedoli,
Gdy nieprzyjaciel podniósł miecz zwy-
[ciężki
I, spustoszenie i strach siejąc wszędzie,
Nas skrępowanych pędził do niewoli?
Któż z nas, patrzących trzeźwo na bieg
[rzeczy,
Daremny opór jeszcze radzić będzie?

Jaromir.

W bezwarunkowem poddaniu się tylko
Możemy jeszcze szukać ocalenia.

Drugi z tłumu.

Ma słuszność książę, któż temu zaprzeczy.
Świętemi dla nas są rozkazy księcia.

Jaromir.

Nie rozkazuję, tylko waszą wolę
Chcę spełnić ściśle. W tak krytycznej
[chwili
Ja, wódz wasz, chciałbym być czystym,
[bez zmazy.
Dziś, gdy nas wojska nieprzyjaciół straszą
Brzęczeniem kajdan i stalowych mieczy,
I wróżą naszym plemionom zagładę —
Wy, mając dobro ojczyzny na pieczy,
Widząc przemożne nieprzyjaciół siły,
A naszych sił tak mało,
Chcąc widmo nieszczęść oddalić:
Słusznie Duńczykom poddać się wolicie,
By tem ojczyznę ocalić.

Głos z tłumu.

Możeby raczej nam umrzeć przystało,
Niżli w niewoli nikczemne wieść życie.

*

Jeden z tłumu.

Tak niegdyś nasi przodkowie mówili,
Mówili i z temi na ustach słowy
I z mieczem w dłoni konali.
A na ich trupach wróg zastawiał ucztę,
I wiązał nasze niewiasty i dzieci,
I wlókł w niewolę za morze.

Głos z tłumu.

Zabijmy nasze z całej Rany dzieci,
Wszystkie niewiasty i dziewoje hoże
I na olbrzymim jednym złóżmy stosie,
I stos podpalmy. Niech w niebo uleci
Z dymem krew ofiar i nasz głos rozpaczy,
Aby bóg poznał własny zgon w tym głosie,
A potem miecze ścisnąwszy w swych [dłoniach,
Na śmierć!

Jaromir.

Swantewid niechaj ci przebaczy
Te słowa szału, biedny!

Jeden z tłumu.

Precz z szaleńcem!
Książę! idź posłom powiedz Waldemara,
Że naród Ranów bije przed nim czołem
I okup składa, błagając o przyjaźń
Króla Duńczyków.

Arcykapłan (wchodząc).

Skończona ofiara,
Pomyślne wróżby, cieszcie się, me dzieci!

Głosy z tłumu.

Jakto pomyślne?

Arcykapłan.

Koń Swantewidowy
Prawą przez włócznię przestępował nogą.
(W tłumie milczenie).
Przebóg! Milczycie, dzieci, cóż to znaczy?
Przecz radośnemi nie witacie słowy
Wyroków boga? Wszak nie wieść zło- [wrogą,
Ale zwycięztwa niosę wam nadzieję;
A wy milczycie smutni, cóż to znaczy?
Gdzie zapał, wiara w siłę Swantewida?
Czyż naród Ranów powoli podleje
I już żadnego głosu dziś nie wyda,
Prócz straszliwego okrzyku rozpaczy?

Jaromir.

W pomyślne wróżby nie wierzym, ka- [płanie.

Arcykapłan.

Nie wierzym!... Biada! Kto wyrzekł te [słowa?
Nie wierzym!... Książę, powiedz to raz [jeszcze,
Możem źle słyszał... Niech po całej Ranie
Wieść się rozniesie straszna, piorunowa,
Że już Ranowie z księciem swym prze- [stali
Wierzyć w moc boga, w jego słowa [wieszcze!
I niechaj wieść ta aż za morze, dalej
Do kraju Niemców i Duńczyków bieży
I nieprzyjaciół naszych rozweseli.
Niech śmiało zastęp żelaznych rycerzy
Zatknie swój sztandar na wybrzeżach [Rany
I naszą ziemią niechaj się podzieli,
I nas okuje w kajdany.

Jeden z tłumu.

Tyś się omylił, kapłanie, koń boga
Nie mógł przestąpić włóczni prawą nogą.

Arcykapłan.

Chodźcie i patrzcie! Wnet wróżby po- [wtórzę.
Cóż to, stoicie? Przebóg, jaka trwoga
Na waszych strasznych twarzach się ma- [luje!
Może się gromów boisz Swantewida,
Ludu mój biedny, niegdyś taki wielki!
Może się boisz pójść z wrogiem w zapasy,
Gdy bóg na moje modły po raz wtóry
Zwycięztwo tobie obwieści?
Książę, chodź z ludem i na własne oczy
Ujrzyj wyroki boskie! I tyś niemy,
Trwożny, i blady, i taki ponury,
Z wyrazem dzikiej na licach boleści
Stoisz, jak posąg.

Jaromir.

Do wróżki pójdziemy.

Jeden z tłumu.

Wróżkę zapłodnił duch boży,
Ona przyszłości obraz nam odsłoni
I wolę bogów wyłoży.
(Wychodzą wszyscy z Jaromirem na czele).
(D. c. n.).



SPRAWA KOBIECA.

Szkoły gospodarstwa domowego dla kobiet. *)

II.

W poprzednim artykule staraliśmy się udowodnić potrzebę założenia szkół fachowych wogóle, a w szczególności szkoły gosp. domowego dla kobiet, ażeby w ten sposób rozszerzyć źródło zarobkowania. Nie o tę grupę kobiet chodzi, której środki materyalne pozwolą poprzestać na wykształceniu ekcyklopedycznem, lecz o tę, która, oprócz zadowolenia, zaspokojenia potrzeby umysłowej lub przyjemności, szuka także w nauce chleba powszedniego lub pożytku. Mnie się zdaje, że pośród kobiet rozumnych i zrównoważonych umysłowo nie ma takich, któreby pragnęły wykształcenie połowy rodzaju ludzkiego skierować wyłącznie na drogę wyższego wykształcenia. Wspomnieliśmy o poważnych usiłowaniach szkoły w Zakopanem; dowodzi to, że nie brak ludzi dobrej woli, patrzących na sprawę kobiecą trzeźwo i szeroko, którzy niezacieśniają jej do jednego punktu. Ale na usiłowaniach jednostek poprzestać niepodobna, bo to, co jednostki robią z dobrej woli, kraj powinien robić z obowiązku.

Chodzi o to, jaki nadać kierunek takim szkołom, jaki zakres?

Myśmy się przyzwyczaili do tego, że z pojęciem szkoły łączy się zwykle pojęcie sążnistego budżetu, który w końcu nigdy wydatków nie pokrywa; w dyskusyi zataczają się zaraz ciężkie działa: potrzeba kilku nauczycieli, folwarku, fermy etc. — a to wszystko kosztuje.

Trzeba sobie jednak raz powiedzieć, że szkoły takie powinny mieć przedewszystkiem charakter *praktyczny*, że przeznaczeniem ich i celem nie jest i nie może być wyższe wykształcenie agronomiczne, lecz udzielenie pewnej sumy wiadomości fachowych, potrzebnych w życiu codziennem na wsi i w gospodarstwie domowem, jakoteż umiejętność zastosowania tych wiadomości do praktyki. Taki punkt wyjścia odrazu rozwiązuje wszelkie trudności.

Dodać należy, że w tym względzie nie potrzebujemy tworzyć czegoś nowego, ani nowych typów szkół, ani nowych metod nauczania. Trzeba tylko dobrej woli, ażeby z cudzego doświadczenia korzystać. Szkoły, o jakich mówimy, istnieją w Anglii, Niemczech, a nawet w Austryi — chodzi tylko o to, ażeby z ich ustrojem zapoznać się, według istniejących wzorów przystosowawszy je tylko do naszego społeczeństwa i warunków.

Zapoznawanie czytelników z rozmaitymi typami tych szkół nie jest bynajmniej zadaniem naszem; one muszą być przestudyowane przez specyalistów lub specyalistki i dopiero na tej podstawie możemy coś budować. Nam chodzi tylko o to, ażeby wskazać nową, a przynajmniej mało znaną u nas drogę do pożytecznej nauki i zachęcić może kogo do niej.

Ażeby dać pojęcie o tem, jakiemi mają lub mogą być szkoły gosp. domowego, pozwolę sobie zapoznać czytelników ze szkółkami tego rodzaju w Belgii. Począwszy od r. 1891 urządzono tam trzy szkółki o zakresie gospodarskim dla kobiet; jedna otwarta została w Virton (Ecole Ménagére agricole établie chez les religieuses de la doctrine chretienne à Virton); szkółka ta miała na celu, zapoznać praktycznie córki drobnych właścicieli ziemskich, dzierżawców etc. z robotami gospod. domowego, a w szczególności z gospodarstwem nabiałowem. Szkoła ma za zadanie wpoić dziewczętom zamiłowanie i szacunek dla zawodu i pracy wiejskiej. U nas, trzeba to przyznać, praca w tym kierunku bywa lekceważoną i tysiące kobiet wolą biedę klepać w mieście, niż gospodarzyć na własnem malutkiem gospodarstwie, po prostu dlatego, że nie wiedzą co tam robić. Szkoła w Virton jest tylko na 12 uczenic; kurs nauk *pięciomiesięczny* od 1. stycznia do 15. czerwca i od 15. lipca do 20. grudnia. Uczennice składają egza-

*) Pragnących szczegółowo zapoznać się z traktowaną przez nas sprawą odsełamy do bardzo ciekawej i wyczerpującej pracy p. Mieczysława Baranowskiego p. t. *O nauce gospodarstwa domowego w szkołach żeńskich* (Lwów 1891). Zadania nasze idą dalej, niż wyłożony przez autora program kursu domowego przy szkole wydziałowej im. Jadwigi we Lwowie (patrz str. 49).

mina i otrzymują świadectwa. Przyjmują się od 16 lat. Płaca miesięczna z całkowitem utrzymaniem 60 franków.

Część gospodarska, dozór i wykład niektórych przedmiotów leżą na odpowiedzialności sióstr, a do przedmiotów specyalnych tylko dwóch nauczycieli, z których jeden jest kierownikiem szkoły. Oprócz tego są jeszcze: nauczycielka mleczarstwa, katecheta i nauczyciel nauk przyrodniczych.

Nad rozkładem pracy i wykładów niezastanawiam się, gdyż program może uledz łatwej modyfikacyi, zastosowanej do potrzeby, bez ujmy dla nauki i nauczania. Dodać tylko muszę, że w godzinach, przeznaczonych na wycieczki i praktykę, uczennice chodzą na rynek, pracują w piekarni, pralni, na folwarku, w mleczarni, zajmują się hodowlą drobiu etc.

Druga szkoła takiego samego typu istnieje w Giseheim (Ecole Ménagere agricole établie chez les soeurs de Saint Vincent de Paul), posiadająca 15 internatek i 2 dochodzące.

Niezależnie od tego znajduje się szkoła w Brugelette (Etablissement des soeurs de l'enfant Jésus) przy zakładzie ochronek. Niedawno otwarto przy zakładzie sekcyę rolnictwa i gospodarstwa domowego (Section Ménagere et Agricole), w celu udzielania elementarnych, teoretycznych i praktycznych wiadomości dziewczętom mniej więcej zamożnych rodziców, posiadających już średnie wykształcenie. Program kursu bardzo się zbliża do szkoły w Virton. Płaca taka sama.

Zastanowić to może niejednego, że szkółki takie urządzone są wyłącznie przy klasztorach żeńskich; w rzeczy samej zaś nic w tem ani dziwnego, ani zastanawiającego nie ma, przykład zaś belgijski należałoby naśladować i u nas. Klasztory żeńskie mają dla swego użytku zawsze większe lub mniejsze folwarczki lub fermy, prowadzą tam gospodarstwo z konieczności, nic przeto łatwiejszego, jak urządzenie przy takich klasztorach szkółek gospodarstwa domowego; w ten sposób można także stworzyć pożyteczne zajęcie dla zakonnic, i uniknąć wysokich budżetów. Zorganizowanie takich szkółek przy klasztorach żeńskich, przez rozszerzenie zakresu nauczania i przez wprowadzenie do programu szkolnego nauk specyalnych, przyniosłoby nieobliczone korzyści dla kraju.

F. G.



KORESPONDENCYA.

Moskalofilizm w Czechach. *)

Minąwszy granice królestwa czeskiego, jechałem przez Morawy do Galicyi. Na dworcu w Ołomuńcu, gdzie musiałem czekać kilka minut na pociąg z Przerowa, usiadłem na peronie. Po chwili usiadł koło mnie inny podróżny i przemówił po polsku. Zawiązała się pomiędzy nami rozmowa, a następnie, zająwszy miejsca w tym samym przedziale wagonu, zabawiliśmy się, żywo rozprawiając o tem i owem.

Mój towarzysz podróży wracał do Królestwa; był we Francyi, Szwajcaryi, Rapperswylu, a wracał pełen cierpkiej, bolesnej zazdrości.

— Jak tam dobrze ludziom, jak i tu jest im dobrze, a my, my!... Szczęśliwy ten, kto znajduje się poza granicami państwa rosyjskiego. Ach, pan jesteś Czechem, pan mi z pewnością nie da wiary, wszak Czesi są moskalofilami. Dla nas Polaków jest to tak cierpkiem!... Jak radzi bylibyśmy przyjechać tłumnie do Pragi na waszą wystawę, która miała być tak piękną, tak nawskróś czeską. ale — »po co się narażać«!

Muszę przyznać, że zarumieniłem się, słysząc wypowiedziany podobny sąd o nas; zarumieniłem się nie ze względu na moją narodowość, — ta niczemu niewinna, — ani też ze względu na moją osobę, wszak owszem nieraz wytykano mi polonofilizm, również nie z powodu niesłowiaństwa, — powodem mego zarumienienia się była niepewność, ażali mi się uda sprostować to oskarżenie.

---

*) Otrzymaliśmy od jednego z wybitniejszych Czechów, sprzyjających Polakom, powyższą korespondencyę. Ze względu, że sprawa jest bardzo na czasie, pospieszamy z umieszczeniem korespondencyi zastrzegając sobie dodanie uwag naszych po jej skończeniu. *(Przyp. Redakcyi).*

Pokusiłem się o to i, oceniając objawy, na podstawie których sądzi się o naszej przyjaźni ku Rossyi, wskazując ich przyczyny i pochodzenie, — a widząc radość mego towarzysza, serdeczną radość, słysząc wyrażone przezeń pragnienie, aby i inni Polacy wiedzieli, jak rzecz właściwie się ma, zdecydowałem się ogłosić drukiem moje zapatrywania. — Nabierałem tem większej odwagi i tem bardziej potęgowało się we mnie to postanowienie, im częściej spotykałem się z zarzutem moskalofilistwa jaki robią Czechom, lub z pytaniami, czy tak jest i dlaczego?

* * *

I. Niema mniej określonego hasła od »kwestyi słowiańskiej«, od wołania o wzajemność Słowian. A przecież tak mało próbuje się ją wyjaśnić i pisma, które życzenie to najczęściej wygłaszają, niestety najczęściej całą sprawę jeszcze bardziej zaciemniają.

Co to jest »kwestya słowiańska«?

Według moich zapatrywań oznacza ona stosunki narodów słowiańskich pomiędzy sobą (nie ku jednemu jedynemu), jest tedy całym szeregiem kwestyj, zdążających do jednego i tego samego celu, do definitywnej przemiany tych stosunków na przyjacielskie, na zgodę, — wzajemność. — Jaką wzajemność? Rozmaicie ją sobie wyobrażają, nie tak jednak, aby zdołała wszystkim się podobać, co jest naturalnem zresztą, bo my »bracia Sławy« mało się znamy.

Wiele jest chmur, które dziś stoją temu na przeszkodzie a rozprószyć je może dobra wola jedynie — dobra wola poznania się wzajemnego i uczynienia sprawiedliwości podstawą wzajemnych stosunków. — Ponieważ jednak sprawiedliwość tylko tam istnieje, gdzie jest prawdziwa wolnomyślność, musi z ideą sprawiedliwości niezłomnie iść w parze idea wolności, ugruntowana na woli narodów, należycie reprezentowanych.

Narodu winić nie można; winne są jednostki, rządy, stronnictwa i kasty, narody a raczej ludy, »nie bacząc na grzechy ojców, mogą sobie podać dłonie« ku wzajemnej zgodzie i wspólnej pracy, jak to na zjeździe słowiańskim w Pradze wyrzekła młodzież ruska, przez usta swego rzecznika.

Pierwszym warunkiem poznawania się jest prostowanie mylnych poglądów.

II. Tego rodzaju mylnym poglądem jest ten, że Czesi są »moskalofilami« — Na samym wstępie mogę śmiało wypowiedzieć, że *naród* bynajmniej nie jest moskalofilskim, to znaczy, że ani nie myśli o despocie północnym, jak to Polacy sobie wyobrażają, — nie pochwala knuta, ani Sybiru; nie można go też równać z moskalofilami ruskimi, nie dochodzi bowiem do takich konsekwencyj, — nie skłania się do serwilizmu.

Dr. Antoniewicz powiedział na zgromadzeniu w Śniatynie: »Na co nam parlament? My byliśmy zawsze służebnikami tronu; tak pierwej za rządów ruskich książąt i polskich królów, jak i obecnie pod panowaniem dynastyi habsburskiej, — takimi służebnikami chcemy pozostać i nadal, i dlatego niechaj rządzi nami tron, »nie parlament«.

Byłoby jednak nieprawdą, gdybym chciał twierdzić, że moskalofilizmu w Czechach zupełnie niema, że pomiędzy Czechami wcale nie istnieje sympatya dla Rosyi.

III. Naród czeski walczy od setek lat z Germanami. Widzi, jak morze germańskie z północy zalało kraje Słowian bałtyckich, jak żywioł niemiecki z północy, południa i zachodu darł się przemocą do jego ojczyzny powoli, za panowania wynarodowionej dynastyi a następnie za obcych rządów rósł w potęgę, przygniatając nią czeski lud i jego prawa. — Jak daleko doszło bezprawie przewagi germanizmu, jest światu wiadomem. — Wiadomo również, że to istny cud, energia narodu czeskiego, który ostatecznie potrafił się oswobodzić, jakkolwiek przez swoich ciemięzców był uważanym za martwy, a poeci niemieccy śpiewali już nad nim *Miserere*.

Jesteśmy wyspą słowiańską na zachodzie, o którę biją bałwany — jesteśmy wyspą skalistą z twardego kamienia.

Gryząca woda niemiecka, przesolona pangermańską żarłocznością, jest niestrudzoną w pracy, dążąc do złączenia wszech Niemców.

Germanizacyjne zapędy rozszerzają się z krain, okalających Czechy i z nizin w królestwie czeskiem, zamieszkałych przez lud niemiecki (zamknięty parter — *Neu-Preussen!!*) i po Morawie, o której głosili przez usta Chlumetzkiego, obecnie prezydenta Rady państwa, że nie może być zesłowiańszczoną, jakkolwiek Niemcy w niej znajdują się tylko po miastach, — szerzą się one i po Szląsku, gdzie walczą zarówno z żywiołem czeskim i polskim, zagrażając obydwóm jednakowo (Slama).

IV. Jaką potęgą są Niemcy wobec Czechów!

Posiadają siłę milionowego narodu, siłę bezwzględności, nie uchylającej się przed żadnym gwałtem, popieranej przez żydowstwo, które pomiędzy Czechami przyznaje się do narodowości niemieckiej (nie dbając o jej antysemityzm). Proteguje ich u steru Austryi centralizm ze swą zasadą o „*Staats-Sprache*“.

A Czesi, naród liczebnie niewielki, któremu walki europejskie przez setki lat upuszczały raz poraz krew z bezwzględnością prawdziwie felczerską, którego literaturę niszczono, paląc setki tysięcy tomów w po dwórzach klasztornych OO. Jezuitów i innych Bogu miłych zakonów, który pozbawiano inteligencyi, i szlachty, i duchowieństwa, i narodowego stanu urzędniczego, — który przed kilku dziesiątkami lat zaledwie oparł się swoim ciemięzcom i do dzisiejszego dnia zrywa rozpaczliwie pęta i łańcuchy ze swych nóg, walcząc z germanizacyą i jej serdecznymi przyjaciołmi.

Dlatego to naród czeski jest liberalnym, że go krępowano i dlatego domaga się autonomii, wołając o federacyę, że był w więzach centralizmu. *Czech.*

(Ciąg dalszy nast.)



ECHA POLSKIE.

Domy dla robotników.

Dyskusya społeczna w lwowskiej Radzie miejskiej!... Taką to osobliwość mieliśmy niedawno dzięki pp. dr. Piętakowi i Romanowiczowi. Pierwszy z nich zażądał wstawienia na domy dla robotników kwoty 200.000 zł. w projekt inwestycyj miejskich, a drugi rozwinął myśl, jak jego zdaniem powinny u nas takie domy wyglądać. Głęboka znajomość przedmiotu i zapał, z jakim mówił p. Romanowicz, wskazują, że on nie od dziś zajmuje się gorąco tą kwestyą, a słowa wyrzeczone przezeń: »Nie żądajcie na razie odemnie bliższych informacyj, tyle tylko bowiem powiedzieć mogę, że myśl domów robotniczych wkrótce wejdzie w życie« — pozwalają wnioskować, że się już coś robi, a może nawet zrobiło niejedno. Jeżeli tę pracę podejmuje stronnictwo lewicy sejmowej, powinszować mu szczerze możemy, bo w ten sposób da się jednę z trwałych podstaw programowi stronnictwa, który w ostatnich czasach zwłaszcza niedomagać poczynał na dotkliwą anemię i nieuchwytność.

Ale nie dość na tem, że jedno stronnictwo podjęło inicyatywę w sprawie domów robotniczych, trzebaby rozruszać nim całe społeczeństwo; dobrzeby więc było, aby się wywiązała publicystyczna dyskusya na ten temat. Pismo nasze poczyni zabiegi o pozyskanie wyczerpującego artykułu o domach robotniczych.

* * *

Teatr ludowy.

Różne są sposoby roznoszenia oświaty wśród ludzi, a jednym z najdzielniejszych może być dobrze pojęta sztuka dramatyczna. Przedstawiając życie człowieka, odźwierciedla ona jego zalety i wady, wpaja cześć dla pierwszych, a wzgardę dla drugich — uczy żyć ku pożytkowi całego społeczeństwa.

Lud nasz pozbawiony był dotychczas tej dzielnej dźwigni duchowej — to też gorąco witamy nowo założone »Towarzystwo teatru ludowego we Lwowie«, którego celem — jak mówi §. 3. statutu — »jest *oświata ludu przez urządzanie odpowiednich przedstawień teatralnych*, umoralnianie i uświadamianie ludu w kierunku narodowym, rozbudzanie poczucia obywatelskiego — dalej zaznajamiania go (drogą tychże przedstawień) z dziejami ojczystemi i literaturą ojczystą«.

Cel jasny i piękny, sam przemawia za tem, aby, komu tylko na sercu leży oświata ludu, spieszył w szeregi nowego Towarzystwa, którego biuro przy ulicy Pańskiej na II. piętrze otwarte jest od 3 do 8 popołudniu.

Zacnym usiłowaniom — Szczęść Boże!

K.

* * *

Bodaj to dyplommacya moskiewska!

Warszawski *Przegląd katolicki* donosi, że rząd moskiewski rozdzielił dotychczasową katolicką parafię Kazańską na pięć parafij, podług liczby gubernij (Kazańska, Wiacka, Symbirska, Ufimska i Samarska), naznaczył proboszczów i pozwolił budować kaplice w Wiatce, Symbirsku, Ufie i Samarze. Takie *ustępstwo* zostanie niezawodnie roztrąbione w całym katolickim świecie i zagłuszy zupełnie jęki zamordowanych unitów i żmudzinów — jestto najlepszy dowód, że Polacy najniesumienniej szkalują wspaniałomyślnego Aleksandra III. Bodaj to dyplomacya! Zauważyć trzeba, że te gubernie należą do dyecezyi biskupa *Zerra,* o misyi którego tak wiele pisano w ostatnich czasach.

* * *

Dziennikarstwo i polityka cłowa.

Dzienniki nasze wszystkie powtarzają bez komentarzy uchwały *wieców polskich w Zaborze pruskim*, głoszące, że z powodu *nizkich* cen zboża, *wysokich* płac dla robotników, *długów* szlacheckich i t. d nie trzeba znosić ceł na polskie zboże z Zaboru moskiewskiego. A jest to fakt, tak oburzający, że każdy Polak powinien wołać o pomstę do nieba. Prusak oderwał od nas Gdańsk i Pomorze, zabija nasze rolnictwo od stu kilkudziesięciu lat cłami na Wiśle, a ci panowie, nazywający się Polakami, chcą dla bardzo wątpliwego uratowania własnej szkaradnej gospodarki, dalej wyzyskiwać dziewięć dziesiątych Rzeczypospolitej na korzyść skarbu niemieckiego! Mamy już cła między Krakowem a Warszawą, między Warszawą a Gdańskiem, i wkrótce może nasi *patryoci* zażądają cła między Gródkiem a Przemyślem, dla poprawienia szlacheckich gospodarstw w tak zwanej zachodniej Galicyi — i, co stąd wynika, dla zrujnowania tych samych gospodarstw od Sanu do Dniepru. Dopókiż będziemy się zabijali własnemi rękami?

* * *

Powódź kalendarzy... i brak jeszcze dwóch.

Wśród powodzi kalendarzy nie zauważyliśmy kalendarza z popularną nazwą: »Kalendarz szkoły ludowej«. Wielka to szkoda! Raz dlatego, że kalendarz taki rozszedłby się w wielkiej ilości i przyniósłby piękny dochód, a powtóre, że przyczyniłby się prawdopodobnie do tego, iż mielibyśmy dobre informacye i o szkolnictwie ludowem i o wszelkich pożytecznych wydawnictwach dla ludu. Mało mówimy, mało reklamujemy wydawnictwa warszawskie, lwowskie, krakowskie, a tymczasem lud na Szląsku jacyś nieproszeni wydawcy karmią książeczkami o tendencyi moskalofilskiej, lub zjawia się takie wydawnictwo, jak cieszyński »Kalendarz górniczy«, który zaprząta głowy górnikom szląskim biografią (z portretem) hr. Larisch - Mönnicha.

Powinniśmy się raz zdobyć na dokładny spis wydawnictw ludowych i dziełek popularnych (naturalnie ze wskazaniem, gdzie i na jakich warunkach można je nabywać), a rzecz taka niewątpliwie powinna się mieścić w kalendarzu »Szkoły ludowej«, którego oczekujemy na rok przyszły wraz z młodszym jego bratem, kalendarzykiem kieszonkowym.

Kiedy mowa o kalendarzach, należy zaznaczyć, że odczuwa się brak kalendarza literacko - dziennikarskiego. Nigdzie nie ma dokładnego spisu redakcyj, czasopism, firm księgarsko - wydawniczych, wiadomości o bibliotekach, stowarzyszeniach naukowych i literackich. A przydałoby się to więcej, niżeli dowcipy kalendarzowe.

W Warszawie, co prawda, firma Centnerszwera wydaje podobny kalendarz, ale ze względów cenzuralnych kalendarz ten nie może obejmować wielu wydawnictw galicyjskich i poznańskich.

* * *

Zgoda wyznaniowa w magistracie krakowskim.

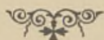
Pan Friedlein, objąwszy rządy stołecznego miasta Krakowa, zarzucił dawniej praktykowany zwyczaj odstępowania sali magistrackiej na zebrania robotnicze. Trzeba jednakże czemś upozorować stałe odmowy. Tu był w kłopocie pan prezydent, z którego wybawił go ks. Chotkowski.

Oto na posiedzeniu rady krakowskiej dnia 1. b. m. ksiądz prałat, widocznie mając na względzie nie tylko stowarzyszenia robotnicze, ale wszystkich *maso-*

nów, którzy pragną w siódmy dzień tygodnia, w dzień wolny od zajęć, lub ciężkiej pracy, omówić sprawy ogólne, — postawił wniosek, iżby *żadnemu towarzystwu* nie udzielano sali Rady miejskiej na posiedzenia w dni świąteczne i niedziele.

Rozumiemy, co kierowało ks. Chotkowskim. Pewnie *socyalizm chrześcijański:* napracowałeś się rzemieślniku przez 6 dni przy warsztacie, naginałeś karku przez cały tydzień, urzędniku lub pomocniku handlowy, więc w dzień świąteczny — marsz do kościoła, posłuchaj słowa Bożego, potem odpocznij w kawiarni lub piwiarni, wolno ci iść na spacer lub majówkę, ale nie natężaj swego umysłu, nie obraduj nad swym losem, bo przecież słyszałeś na kazaniu, że »z losem zgodzić się trzeba«, nie omawiaj spraw wielu, wielu... bo od tego są panowie i księża, którzy mają całe siedm dni w tygodniu wolne. Ci niech radzą, a ty im wierz i pracuj...

Stanowisko ks. Chotkowskiego rozumiemy — jest konsekwentne, ale nie możemy zrozumieć, dlaczego pan Friedlein zgodził się tak *iście po katolicku* obserwować święta i niedziele.



PRZEGLĄD LITERACKI.

Anima Lachrymans.

Poezye Jana Kasprowicza. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz, 1894.

Mówili niegdyś starożytni Grecy, że poezya jest mową bogów. Chcieli przez to wyrazić zapewne, że wszystkie najszlachetniejsze uczucia ludzkie mają coś boskiego w sobie, są ową nicią wiążącą dwa światy — życia i marzeń, prawdy i złudzenia, i nazwali tę nić czarodziejską — poezyą.

Dziś w bogów nikt nie wierzy. Olimp grecki opustoszał, Nimfy rozbiegły się po świecie i, zmieniwzzy kształty, przechowały się w fantazyi ludowej, — ale został Homer i źródło prawdziwej poezyi nie wyschło dotychczas, chociaż mówiono, że wyschło od dawna. Tak, poezya jest tak starą i tak żywotną, jak ludzkość. Kto powiada, że poezya umarła, ten chyba nie wie czem ona jest, — jest to owa *Anima lachrymans* — łzy, ogień, ból ludzkości, tryskające na każdem miejscu, gdzie jest człowiek z silną i wrażliwą duszą, który skupić w niej potrafi bodaj kilka prawdziwie ludzkich smutków, myśli, marzeń.

Juźci byłoby to poniżaniem poezyi, gdyby ktoś chciał wszelkie bredzenia erotyczne, tkliwe jęki na temat nie doznanych uczuć, blade malowidła nie odczutych obrazów nazywać poezyą dlatego tylko, że na końcu frazesów umieszczono rymy. Ha, trudno, i tacy poeci istnieć muszą, i w ich duszy błysnąć może niekiedy iskra czarodziejska, ale powtarzane ciągle cudze myśli i uczucia nie będą nigdy dla duszy ludzkiej źródłem czystego napoju. Krótko mówiąc, poeta musi być oryginalnym, musi być sobą, musi być człowiekiem wyobraźni świeżej i wrażliwej, umysłu głębokiego, duszy czystej, musi mieć w sobie więcej od innych zasobów moralnych i umysłowych, gdyż wtedy tylko będzie miał czem dzielić się z innymi. Kogo matka - natura w te skarby nie wyposażyła, ten, chociażby zrymował setki tomów, nigdy nie będzie poetą.

Trzeba przyznać, że większość błędnie ocenia cele i zadania poezyi — jedni uważają ją ledwie nie za zabawkę, za jakiś wytwór sztuki wypieszczony, wydelikacony, dostępny umysłom i organizacyom wyjątkowym: stąd też jedni stosują do poezyi — rzeźbę, inni — muzykę, inni wreszcie radziby dosłuchać się w niej harmonii wszystkich głosów natury. Tymczasem poezya jest tylko jedną z form dla wyrażenia myśli ludzkich; sama dla siebie celem, zadaniem, światem, jak każda dziedzina sztuki. Nie znaczy to bynajmniej, ażebym poezyę uważał za coś odrębnego, odosobnionego, za coś podobnego do skamieniałej muszli. Przeciwnie, poezya idzie z rozwojem ludzkości i odbijać przeto musi w sobie wszystkie prądy myśli, przenikające ludzkość. To jej dzisiejsze niby szukanie drogi na zachodzie: zwrot do pierwotnego spokoju u parnasistów, do filozofii Sully - Prudhomme, do dekadentyzmu — niesłusznie nazwanego — P. Verlaine'a i innych a właściwie do poezyi mistycznej — to jest szamotanie się nowożytnych społeczeństw, a raczej obraz tego szamotania się. W ten sposób pojmując poezyę, można zrozumieć jej zboczenia, jej wady, jej grzechy, jej istotę. Ona stać musi na tym

stopniu, na jakim w danej chwili ludzkość stoi, albo wielkie odłamy duchowe ludzkości.

Kilka słów wypowiedzianych o poezyi w ogóle daje mi punkt wyjścia do wskazania wybitniejszych rysów w talencie Kasprowicza. Poeta, nieprzestając być cząstką ludzkości jest równocześnie cząstką własnego narodu; od pierwszej bierze impulsy, od drugiego barwy, obrazy, myśli, uczucia swego społeczeństwa i do skarbnicy ludzkości je składa. Musi tedy być, w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, dzieckiem swego narodu, kością z jego kości, jego przyrodą, myślą, barwą, słońcem, cierpieniem, kochać go z jego wadami, marzeniami, nadziejami. Mógłby mi ktoś zrobić zarzut, że narzucam poezyi tendencyjność, że pragnę, ażeby ona poszła na usługi tej lub owej idei. Wcale nie, ale muszę przyznać, że teorya o kosmopolityzmie sztuki wydaje mi się szczytem idyotyzmu. Nigdy poezya taką nie była, nigdy tą drogą nie pójdzie, a słowo jej będzie tem potężniejsze, im więcej w niej znajdzie się barw i życia narodowego.

Źródłem natchnień Kasprowicza nie są bynajmniej chorobliwe mrzonki osłabionego, zdenerwowanego mózgu, szukającego uczuć i myśli poza obrębem własnego narodu, — jego siłą, jego natchnieniem, jego myślą ustawiczną jest życie narodowe z tem wszystkiem, co ono przynosi. O nim można powiedzieć w dosłownem znaczeniu: że jest to poeta polski, nowożytny, dzisiejszy, bo w nim odbija się, jak w czystej wodzie, życie nasze z całym swoim światem moralnym.

Kasprowicz nie jest poetą miękkiego lirycznego nastroju, nie rozkłada na pyłki i atomy duszy własnej, aby z niej wydobyć pesymistyczne westchnienia i łzy chorego, pozbawionego siły, energii i woli przecywilizowanego umysłu; nie roztkliwia się w pesymiźmie, poezya jego nie sprawia przeto wrażenia oślizłego mięczaka. U niego w każdym wierszu wytryska siła zdrowego fizycznego organizmu, nie nadwątlonego używaniem narkotyków naszej cywilizacyi. Myśli jego są sformułowaniem tych drgań każdego polskiego serca, które własnym pulsem uderza, a nie jest tylko echem cudzego bicia; uczucia jego i obrazy czerpane są na dnie tej narodowej krynicy, w której odżywcze i czyste źródło bije dla wszystkich.

Powiedziałem kiedyś, że poezya Kasprowicza jest syntezą duszy narodowej. Niewiem, czy używam wyrazów malujących dostatecznie myśl moją, wiem tylko, że po przeczytaniu ostatniego zbioru jego poezyj, w przekonaniu tem utrwaliłem się. Po za Kasprowiczem nie znajduję w tej chwili pośród młodej generacyi poety bardziej narodowego. Forma u niego pozostawia jeszcze nieco do życzenia, ale w tej nawet formie chropawej niekiedy, szorstkiej, łamiącej się z myślą, wciśnięta w nią tkwi jego oryginalność i siła. Wzorem pieszczochów lirycznych, bawiących się dźwiękiem słów, on nie idzie nigdy; słowo jego zgrzytnie nieraz, ale czuć z samej energii zgrzytu, że to nie jest przesunięcie się różowego paznokietka po tkaninie jedwabnej, lecz jęk żelaza, trącego się o ciężką glebę.

Żaden z naszych poetów, nie wyłączając nawet T. Lenartowicza i Konopnickiej nie jest tak ściśle związany z matką-ziemią co Kasprowicz; jeżeli o nich można powiedzieć, że byli pieśnią ludu, jego rytmem, jego muzyką smutną, to Kasprowicz jest jego myślą i uczuciem. Wtenczas nawet, gdy mówi o własnej »duszy zagonie, na którym słońce majowe nie płonie, rosisty deszczyk nie pada«, czuć skargę tego wielkiego polskiego zagona, który

Zorany odłogiem leży,
Miast żyta zielsko się szerzy
I ziarna, próżno siane, bezlitośnie zjada.

Kasprowicz, czy przemawia we własnem imieniu, skarżąc się własnemi smutkami, czy mówi jako *Ezechiel*, czy wreszcie malując obrazy wiejskie, zmienia tylko ton, rytm, formę, ale niezmienia nigdy charakteru swojej poezyi. Jest to nawskróś *Anima lachrymans*, dusza płacząca nad bólem i smutkiem innych.

Najwięcej oryginalności u Kasprowicza znajduje się w obrazkach ludowych *(Rumianek, Na rozdrożu, W karczmisku, Król Lear z Biedaczewa, Maciej Kosarczyk)*. Tyle tu jest głęboko wzruszającego liryzmu »chłopskiego«, prawdziwego, niedomówionego, wyrywającego się w krótkich słowach, że na tem polu nikt się z nim porównać nie może. Prześliczne poezye sielskie Konopnickiej mają charakter miękkiego liryzmu, przypominają płacz i skargi dziewuchy wiejskiej, niekrępowane niczem; u Kasprowicza śladu tego nie-

ma: chłop jego płacze nie łzami, lecz duszą, u niego nie widać łez, ale je czuć. W jego liryzmie jest dramatyczność — i to właśnie sprawia głębokie wrażenie.

Fr. Rawita.

Juliusz Giżowski: *Rodzina Wyklętych.* Lwów — Warszawa. 1894.

Nazwisko autora po raz pierwszy, o ile nam wiadomo, pojawia się w naszej literaturze powieściowej. Nie mamy zatem prawa przystosowywać do niego tej miary, jaką sądzimy pisarzy wytrawniejszych. *Rodzina Wyklętych* odpowiada zresztą dość wiernie przeciętnemu typowi debiutów powieściowych: fantazya wybujała, romantyczne na świat spojrzenie, charaktery jednostronne, nieskomplikowane, łatwe do określenia paru przymiotnikami. Nieokiełznaność wyobraźni ściera się gdzieniegdzie z loiczną konsekwencyą wypadków, obejść się nie może bez pomocy nadzwyczajności, zbiegu okoliczności nadnaturalnych, interwencyi gromów, piorunów i głosów pozagrobowych. Aby wyczerpać odrazu cały zapas uwag krytycznych, zwrócimy uwagę szan. autora na język niewyrobiony, zaniedbany, często wprost rażący. »Pan ci był dumny na swój ród (str. 22)«.,. »cenić dobrodziejstwo, jakeście nademną zrobili (str. 82)«... »Nie mówię tego wcale, jakoby troska starosty robiła mi ból głowy (str. 145)...« i t. p., oraz wyrazy takie jak *reflektować na kogo*, *gratulować*, *imputować*, *rozchodzić się o kogo* i t. p. psują nieraz wrażenie w najefektowniejszym momencie. Poza tem charakterystyka osób działających dosadna, nieraz trafna, mianowicie postaci drugorzędnych (Jerzy Słonimski, żyd faktor, Kubok); kolizya interesów szlachcica z żydem skreślona w sposób żywy i zajmujący. W całości przebija pewna werwa i zapał, świadczący, że przy wielkiej pracy nad sobą autor ma z czego się wykształcić. Wszak i rozczochrane utwory młodzieńcze twórcy »Komedyi ludzkiej« w niczem nie zapowiadały potężnego reformatora powieści w kierunku realistycznym!

Ant.

NEKROLOGIA.

Dr. Antoni J. (J. Rolle).

Dr. Antoni J. (dr. Antoni Józef Rolle) zmarł 21. stycznia roku bieżącego w Kamieńcu Podolskim. Z szeregu wybitnych pracowników, którzy z zamiłowaniem uprawiali niwę dziejową na Rusi, ubył jeden z najpilniejszych i najlepszych. Badaniami swemi utrzymywał on łączność duchową i społeczną między całą Polską a niegdyś kresowemi jej województwami, budził miłość dla tej ziemi, na której tak wiele wylało się krwi polskiej i ruskiej w długowiekowej walce z napierającym na Europę światem muzułmańskim.

Był on w całem tego słowa znaczeniu dzieckiem Podola. Urodzony w r. 1830 w Henrykówce obok Jaryczowa, do szkół średnich uczęszczał w Winnicy i Niemirowie, uniwersytet kończył w Kijowie. Prawie całe życie przemieszkał w Kamieńcu, gdzie się praktyką lekarską trudnił, czas wolny poświęcając badaniom historycznym. Zamiłowanie jednak do dziejów ojczystych rosło w nim coraz bardziej, w miarę zapoznawania się z przeszłością Podola. Zetknięcie się z żyjącymi jeszcze uczestnikami wielkich walk narodowych XVIII i XIX stólecia, z ludźmi pamiętającymi niedawne czasy, wypadki, zdarzenia, wybitniejsze osobistości, popchnęło go na pole pisarskie. Obdarzony talentem opowiadacza, przy małym zasobie rękopiśmiennych materyałów, pisał gawędy i opowiadania ciekawe, wdzięczne, interesujące szerokie koła czytelników, goniących za bajką. Były to utwory pośrednie między historyą a nowelą — *Pod półksiężycem*, *Dwór Tulczyński*, *Losy pięknej kobiety*, *Książę Sarmacyi* i w. in. Z czasem, gdy się lepiej ze źródłami i materyałami zaznajomił, następowały prace głębiej traktowane, poważniejsze pod wzplędem historycznym. W ten sposób pozostał szereg monografij o zameczkach kresowych, które utworzyły trzy tomowe dzieło p. t. *Zameczki podolskie.* Monografie jego i szkice, dotyczące osobistości lub wypadków, jak *Iwan Podkowa*, *Semen Nalewajko*, *Tadeusz Leszczyc Grabianka* i w. in. popularyzowały nazwiska historyczne i budziły zamiłowanie do przeszłości kraju, którą z polskich historyków oprócz Bartoszewicza, a później Jabłonowskiego i Kubali mało kto interesował się.

Nigdy jednak, pomimo znajomości źródeł, większej dziejowej epoki dr. Antoni J. nieopracował, zachowując do końca życia charakter monografisty. Jedną z największych prac jego, którą oddał ogromne usługi pisarzom, zajmującym się dziejami Rusi, było ułożenie sposobem bibliograficznym materyałów i dokumentów, zebranych z pism rosyjskich; pracę tą wydała Akad. umiejętności w Krakowie p. t. *Polonica, materyały dotyczącc dziejów Polski, w pismach rossyjskich napotykane*. Weszło tu 2500 tomów i 6000 dokumentów.

Krótka notatka, jaką dajemy, poświęcona pamięci człowieka wielkiej pracy, wielkiej miłości całej ojczyzny, jednego z tych, którzy przykładem zachęcali do ukochania dziejów Rusi, zaledwie daje pojęcie o tej stracie, jaką poniósł naród polski w chwili, gdy mu najwięcej uczciwych pracowników potrzeba.

Pamięć o nim pozostanie wdzięczną, a ziemia kresowa, śród której spoczął niechaj mu lekką będzie.

R.



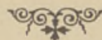
ROZMAITOŚCI.

Konfiskata dwukrotna. Numer 3. *Życia*, organu młodzieży, wychodzącego we Lwowie, skonfiskowała c. k. prokuratorya państwa za zapisek p. t. »O święta naiwności,« (wyciąg ze sprawozdania Sokoła jarosławskiego). — »Dodatek do numeru 3. skonfiskowano za artykuł p. t. »Wolność słowa« (wyciąg z mowy Rübenbauera) i za artykuł: »Czegoż chcecie więcej« o dwóch ministrach-rodakach. Nakład drugi skonfiskowano za koniec artykułu »Mundury w szkołach średnich« i artykuł: »Ciężka walka ludu z wrogami.«

Henryk Siemiradzki wykończył już kurtynę, przeznaczoną dla teatru krakowskiego. Pod względem pomysłu i wykonania nowe płótno wielkiego naszego artysty, jak donoszą korespondenci z Rzymu, ma być dziełem pierwszorzędnej wartości. Ma ono być wystawionem najpierw w Warszawie.

Teatr. W Warszawie w teatrze Rozmaitości wystawiono z średniem powodzeniem nową komedyę M. Bałuckiego, p. t. »Bajki«, — w teatrze Małym udatną krotochwilę Jul. Wieniawskiego (Jordana) »Myszy bez kota«.

Ze Lwowa. 21. z. m. odbyło się zgromadzenie pewnej części inteligencyi żydowskiej, która uchwaliła: 1) zebrani czują się Polakami bez żadnych zastrzeżeń i dążyć pragną jedynie w kierunku spolszczenia żydów; 2) dążyć do uobywatelenia żydów na podstawie równych praw i obowiązków. Nadto wybrano komisyę, złożoną z 7 członków, dla obmyślenia środków i zorganizowania odpowiedniej akcyi. Jest więc nadzieja, że w krótkim czasie powstanie towarzystwo asymilacyjne i organ w odpowiednim kierunku redagowany.



BIBLIOGRAFIA.

Kornel Ujejski. Melodye biblijne. Wiersze różne. Przemyśl. Wydane nakładem Jelenia i Langa. 1893.

Chwalić poezye K. Ujejskiego byłoby rzeczą zbyteczną; nadto dobrze wysoki i podniosły nastrój ich znany jest całemu narodowi, ażeby potrzeba było przypominać o tem. Możemy tylko polecić czytelnikom naszym piękne i tanie wydanie pp. Jelenia t Langa.

Józef Roman Kwaśniewski. Podręcznik dla płacących podatki i należytości rządowi, ułożył... Nakład księgarni Zwolińskiego i Spki 1894.

Treść tego dziełka obejmuje następujące pozycye: podatek gruntowy, domowo-klasowy, czynszowy z wzorami podań, zarobkowy, dochodowy. Oprócz tego autor mówi o dodatkach do podatków, o należytościach stemplowych, o opustach należytości odsetkowych, o egzekucyi podatków, o depozytach sądowych, o osobnej opłacie z handlu, o terminach płacenia podatków i w. innych rzeczach. Pozostawiając ocenienie tej pracy ludziom fachowym, powiedzieć należy że książka taka może oddać ogromne usługi pod względem informacyjnym.

Dzieła Adama Mickiewicza. Wydanie Towarzystwa literackiego imienia Mickiewicza. Tom III. Grażyna. Konrad Wallenrod. Giaur. Skład główny: Jakubowski i Zadurowicz. Lwów 1893.

Jest to pierwszy tom wydawnictwa, który stanowi zupełną całość. Jakkolwiek wydanie rozpoczęte od t. III, stało się to z rozmysłu, gdyż szczęśliwym zbiegiem okoliczności ten właśnie tom opracowanym został najpierwej. Zważywszy, że wydawcom nie chodziło o bylejakie wydanie, lecz o ile można najlepsze, że do tej pracy zaproszono najwybitniejszych naszych krytyków, rozrzuconych po różnych dzielnicach Polski, trzeba było korzystać jaknajrychlej z opracowanego już materyału, ażeby miłośnikom poezyi A. Mickiewicza, którzy długo na to wydanie oczekiwali, dać to przynajmniej, co już opracowanem zostało. Następne tomy ukazywać się będą w liczbowym porządku. *Grażynę* opracował dr. Wilhelm Bruchnalski. *Konrada Wallenroda* Władysław Nehring a *Giaura* dr. Piotr Chmielowski.

Prześliczne to wydanie pod każdym względem zadowolni niezawodnie licznych wielbicieli największego z naszych poetów.

Polacy w Brazylii przez *Antoniego Hempla*, członka wyprawy naukowej dra J. Siemiradzkiego do Brazylii i Argentyny (z mapą kolonii polskich w Brazylii). Lwów, 1894. Nakładem wydawnictwa »Kurjera Lwowskiego« — Cena 1 złr.

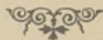
Z szeregu wydawnictw, traktujących o Brazylii od czasu pamiętnej »gorączki emigracyjnej« (1890 roku) mieszkańców Królestwa, praca powyższa wyróżnia się bardzo, tak ze względu na szczegółowy opis dawnych i nowych kolonij polskich, jak również i ze względu na obfity materyał statystyczny. Autor-podróżnik wszystko, co opisuje, widział na własne oczy, i to stanowi największą zaletę powyższego dziełka. Książka cała pisana stylem barwnym i nader zajmująco ułożona, może zająć nie tylko interesującego się sprawami emigracyi, ale i każdego inteligentnego czytelnika.

Kwestya upadającej własności ziemskiej. Pod tym tytułem ukazała się w zeszycie grudniowym 1893 roku »Biblioteki Warszawskiej« rozprawa p. A. Kłobukowskiego, Radcy Komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem. Odbitka osobna niezawodnie też się ukaże w druku. Praca ta, choć się kilkakrotnie odwołuje na dzieło p. J. Blocha »Ziemia i jej obdłużenie«, stanowczo się różni od tegoż tonem swym optymistycznym, dającym otuchę na przyszłość. Autor wykazuje na mocy danych, zebranych z gubernii Warszawskiej, że wiele milionów obciążających hipoteki są długami fikcyjnemi, jak posagi, wpisy dla dzieci i rodziców, kaucye i ostrzeżenia, oraz długi kilka razy zapisane i symulacyjne. Środkami ratunku wskazanemi przez autora są: 1. Uprzedanie części i w tym celu założenie »Banku kredytowo-parcelacyjnego«. 2. Melioracye rolne, podjęte na wielką skalę i przeszkodzenie dewastacyom majątków przez bankrutujących właścicieli, przez co produkcyjność ziemi się podniesie. 3. Zaopatrzenie rolników w tani i dostępny kredyt. Wszystkie te trzy środki winny być stosowane równocześnie a wtedy stan własności ziemskiej nie okaże się wcale rozpaczliwym. Rozprawa ta, choć napisana dla stosunków Królestwa Polskiego, odnosić się może śmiało i do innych części Polski a nie najmniej do Galicyi, gdzie sprawa parcelacyjna należy do palących, a nie znalazła takiego rozjaśnienia w czasopiśmiennictwie. Polecamy tę pracę czytelnikom naszym w przekonaniu, że argumentacya w niej jest tak silna i spokojna, iż nie oprze się jej najzawziętszy przeciwnik parcelacyi.

Kalendarz asekuracjno-ekonomiczny. — Rok 1894. Rzadko pośród wydawnictw kalendarzowych znaleźć można kalendarz, któryby rzeczywiście był redagowany z uwzględnieniem potrzeb czytelników. W zakresie fachowym kalendarz asekuracyjno-ekonomiczny czyni zadość wszelkim informacyom i wskazówkom. Są tu wymienione główne banki i asekuracye krajowe, jakoteż pozakrajowe, rozmaite towarzystwa o barwie ekonomicznej, a nawet ku rozweseleniu czytelnika znajdujemy dział beletrystyczny, w przykładnej zgodzie z działem ekonomicznym tworzący część »fachowo-literacką.« Mieszczą się tu rozprawy prof. Głębińskiego, Merunowicza, Józefa Mrazka, Witolda Lewickiego, Z. Korosteńskiego i dra Jana Pawlikowskiego, obok poezyi Rodocia i humoreski A. Wilczyńskiego.

Przegląd prawa i administracyi za miesiąc styczeń i luty b. r. zamieścił następujące prace: Wpływ Tomasza Carlyle'a na rozwój społeczeństwa angielskiego pod względem socyalno-politycznym w XIX. wieku, przez prof. dra *A. Okolskiego.* — Sprawy konstytucyjne i gminne na Sejmie 1893. roku, przez prof. dra *St. Starzyńskiego.* — O rządowym projekcie reformy wyborczej, odczyt prof. dra *T. Pilata.* — Fortel ustawodawczy, przez dra *Br. Łozińskiego.* — III. Zjazd prawników i ekonomistów polskich w Poznaniu 1893 roku. — Rządowy projekt reformy wyborczej, przemówienie dra *Br. Łozińskiego.* — Zapiski literackie, kronikę, a w części praktycznej: Zasady orzeczeń Trybunału kasacyjnego, przez dra *W. Tarłowskiego* i Zasady orzeczeń Trybunału administracyjnego, przez dra *Aleks. Małaczyńskiego.*

Przegląd Emigracyjny w numerze 1-szym z roku bieżącego zamieścił następujące artykuły, godne uwagi: Większa Polska (kulturny związek wszystkich społeczeństw polskich), Polska kolonizacya zamorska, oraz Kolonizacya w północnej Ameryce. — Numer 2-gi zawiera: Polskie Towarzystwo handlowo-geograficzne przez W. Ungara, dalej statut powstającego we Lwowie »Polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego,« następnie o przygotowaniach Polaków w Ameryce do wystawy Lwowskiej, korespondencye i o »Organizacyi młodzieży polskiej w Ameryce.« Nr. 3. zawiera: Misye polskie w Ameryce. — Rok Kościuszkowski w Ameryce. — Wszechnica robotnicza w Filadelfii. — Korespondencye: I. Genewa, VII. Zjazd Zjednoczenia Młodzieży polskiej za granicą. — II. New-York, Odezwa w sprawie książek polskich dla wychodźców. — Rozmaitości. — Zapiski literackie.



Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu *W.* w Krakowie. Serdecznie dziękujemy. List wysłany.

Pana *Bo...bd* we Lwowie. Prosimy o porozumienie się osobiste.

Panu *K. S.* Za list dziękujemy. Jako korespond. zużytkować nie mogliśmy, napiszemy o tem jednak w *Echach.* Prosimy o dostarczanie faktów.

Od Administracyi: pan L. Dolański z Rakowej nadesłał 3 złr. 30 ct. jako prenumeratę na 3 egz. dzieła: Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość.

WESOŁY KĄT.

Dygnitarze.

Wątpię, czy wśród dzisiejszej ery
Jest gdzie tak dziwny jak my naród,
Co czci tytuły i ordery,
Do władzy czuje zapał szczery
I dygnitarstwa nosi zaród.

Wszak każdy z nas wytęża siły
Z krzywdą dla innych interesów,
By zyskać jaki tytuł miły —
Tak, że narody nas zrobiły
Narodem hrabiów i prezesów.

Ach to też u nas wszelka praca
Upada coraz bardziej nisko,
Albowiem taka dziś popłaca,
Co strojąc w order jak pajaca,
Człowieka pcha na stanowisko.

Dzisiaj przepiękne te zasady,
Które wyznaje średnia warstwa,
Wyzyskać każdy pragnie rady,
Jako nadziei promyk blady
Orderu albo dygnitarstwa.

Wszak nawet takie chwile dały,
Gdy naród toczył krew z upiorów —
Tytułów różnych zastęp cały,
Że prosty żołnież to kruk biały,
Wśród pułkowników i majorów.

Urzędnik, lekarz, ksiądz, literat,
Nawet kto żyje z synekury,
Pnie się przez każdy swój referat,
Ciągnąc z mozołem życia kierat —
Po order lub do prezesury.

Szewc, krawiec, stolarz, co z natury
Zalicza się do demokracyi, -
Wysuwa pychy wnet pazury,
Jeśli broń Boże został który
Prezesem jakiejś korporacyi.

A towarzystwo każde prawie
Powstaje zwykle w taki sposób,
Że albo służy ku zabawie,
Lub gdy powstaje w innej sprawie,
To nie dla rzeczy, lecz dla osób.

Nieraz śmiech człeka chwyta pusty,
Gdy widzi walne zgromadzenie,
Na którem mówca złotousty
Po dygnitarstwa kąsek tłusty
Przez zręczne sięga przemówienie.

Nowe »*ognisko*« wnet nie świeci
A ledwie, że się trochę żarzy,
Powagą olśni chyba dzieci,
Terenem jest roboty kreciej —
Areną kilku dygnitarzy.

Gdybyż choć jeszcze dygnitarze,
Co wypłynęli niby korek,
Przychodząc blisko przed ołtarze,
Krajowi pracę nieśli w darze,
Nie dbali tylko o swój worek!!

Lecz zwykle wszelkie ideały
U takich panów w poniewierce,
Ich umysł wnet się robi mały,
Tytuł jest treścią głowy całej,
Order gorące ziębi serce.

Ha! przecież dawniej było w modzie
Bardzo ponętne to przysłowie,
Że szlachcic równy wojewodzie...
Gdy biedaczysko był na spodzie,
To magnat chodził mu po głowie.

To zdanie, z treścią pełną miodu,
Rzec można śmiało, nie bez racyi,
Z biegiem lat weszło w krew Narodu
I ciągle jątrząc na kształt wrzodu
Jest dziś genezą... demokracyi.

* * *

W słabości tej już nadto grzebię,
Więc trzeba skończyć jakoś ładnie...
Że każdy z nas, kto ceni siebie,
Woli, niż zwykłym świętym w niebie,
Być dygnitarzem w piekle na dnie.

Szpon.

Antagonistce Kilińskiego.

Dalipan, samaś pani winna temu, nie ja,
Że w tym Kącie Wesołym stać będziesz — [Esteja!...
Czy to bowiem kto słyszał, by Polka au- [torka,
Co może milion nazwisk, z fantazyi jak [z worka
Wysypać, chrzcząc osoby swych nowel, po- [wieści
(Niehistorycznych zgoła z osnowy i treści) —
By ta autorka Polka tak dostojnem mianem
Jak *Kiliński*, przez naród cały uwielbianem
Nazwiskiem takiem śmiała ochrzcić kreaturę,
W fantazyi jej poczętą?... [Mysz zrodziła górę!

Pan »Kiliński« w *Mgławicy* Pani, cna [Esteja,
Wlecze z sobą epitet »łajdaka«, »zło- [dzieja«!...
Z lubością ten epitet powtarzasz; w dodatku
Nie możesz jego matce zapomnieć »upadku« —
A to wszystko — tak, sobie... choć nie- [zasłużone
Przez żadnego z Kilińskich, jednak *wymy- [ślone*
W natchnieniu twórczem Pani autorki... [Ach, brawo!

Ciesz się więc, cna Estejo, literacką sławą —
Lecz z daleka od nazwisk bohaterów ludu!!
Możesz sobie na przyszłość mniej zadawać [trudu
W wyszukiwaniu nazwisk dla swych boha- [terów:
Wiem, że jeśli *ladaco*, nie utkasz z eterów
Miana — lecz gdy ten facet ma być jakiś [*szewski*
To go Pani od *skóry* wprost nazwij *Skó- rzewski*.

B.

Posłowi E. T.

Dzięki Ci, żeś do Sejmu przyłożył znów [pilnik
Misyjny — i z ludową szkołą stoczył [harce; —
Potrzebny tam jest zawsze taki nieomylnik,
Co umie rzecz wyświetlić w magicznej la- [tarce...
A żeś po Golejewskim jest w tem arcy- [silnik,
Nietylko więc wystąpień Twych w Sejmie [nie karcę
Lecz chwalę — gdyż orkiestrze zawsze kro- [tochwilnik
Potrzebny, co wtóruje *trąbom* — na *fujarce*;
A i to rzecz wiadoma, że Orzeł - Mogilnik
Prawo bytu posiadał już w Noego arce.

B.

Nasi „najserdeczniejsi“ w Sejmie.

Wielka borba, wielki huk!
To Herasym — Romańczuk —
Z Rady szkolnej swadą swą
Aż do skutku pasy drą.

Ów — nauczycieli los
Radby zdać na wójtów głos;
Ten narzeka, że wciąż kusa
Rzecz z *azbuką* — u Krakusa!

Miłych szkół pożąda pierwszy;
Drugi ma znów pogląd szerszy...
Et, Romańczuk — Herasym —
Taki Wasz słomiany dym!

B.

PA-ROCHU!

mów mi wuju...

(JMC. P. Zagłoba z »Potopu«.)

Na ratuszu, w sali radnej
Chciałbyś prawić nam kazania,
W sposób śmieszny i nieskładny
Spełniać misyę »powołania«?

Ej, ej, *pater*, bądźmy szczersi:
Rzuć ten rankor teatralny —
Na plebanii bij się w piersi,
Znijdź na padół — *parafialny*.

Gdy chcesz rolę czyścić z chwastu,
To od swych zaczynaj śmieci.... —
Któż z morałem szastu-prastu
Tak *na ratusz* zaraz leci?

B.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Tadeusz Dwernicki.**